

HIGGINS JACK

KLUCZE DO PIEKIEŁ

CYKL: PAUL CHAVESSE TOM 3

TYTUŁ ORG: THE KEYS OF HELL

PRZEŁO YŁ JULIUSZ GARZTECKI

DATA WYDANIA ORYGINALNEGO: 1965

DATA WYDANIA POLSKIEGO: 1993

Jan i Chrisowi Hewittom, miło nikom interesuj cych opowie ci

Nie istniej klucze do piekiel - drzwi otwarte s dla wszystkich
(alba skie przysłowie)

1

Spotkanie w Rzymie

Wszedłszy do wielkiej sali balowej w ambasadzie brytyjskiej, Chavasse zauważył chijską delegację skupioną przy kominku; jej członkowie w swych niebieskich mundurkach razili w otoczeniu mietanki towarzyskiej Rzymu.

Czou Enlaj obserwował zgromadzonych z wielkiego, połączanego fotela, mając u boku ambasadora z on. Jego gładka, kamienna twarz nie wyrażała żadnych uczuć. Od czasu do czasu pierwszy sekretarz ambasady podprowadzał do niego co ważniejszych gości, by dokonać ich prezentacji.

Orkiestra grała walca. Chavasse zapalił papierosa i oparł się o kolumnę. Widowisko było wspaniałe; kryształowe kryształki rzucały we wszystkie zakamarki kremowo-złotej sali balowej światło, które odbijało się wielokrotnie od wyłożonych lustrami ścian.

Piękne kobiety, przystojni mężczyźni, galowe mundury, szkarłat i purpura dygnitarzy kościelnych - wszystko to sprawiało wrażenie, jak gdyby zwierciadła zachowały wspomnienia z dawnych lat tancerzy obracających się bez końca przy wtórze cichej muzyki.

Chavasse popatrzył przez całą długość sali na chijskiego dostojnika i przez krótkie chwile wydawało mu się, że biała twarz Czou Enlaja się przybliżyła. Dostrzegł lekkie skinięcie głów jak do znajomego i oczy mówiły: Oni wszyscy są skazani na zagładę... To moja godzina, wiemy o tym obaj.

Chavasse zadrżał i nagle wydało mu się, że wszystko wokół poszarzało. Miał wrażenie, że to ta jego niezwykła zdolność przewidywania, odziedziczona po bretońskim ojcu, sygnalizuje niebezpieczeństwo.

Chwila minęła, tańczyli nadal. Chavasse odczuwał silne zmęczenie. Cztery doby ucieczki i zaledwie parę godzin niespokojnego snu, gdy było to bezpieczne. Zapalił następnego papierosa i przyjrzał się sobie w lustrze.

Ciemny strój wieczorowy leżał na nim znakomicie, podkreślając szerokie ramiona i twarde, muskularne ciało. Ale na wydatnych kościach policzkowych skóra była naciągana zbyt silnie, a oczy mocno podkręcone.

Potrzeba ci drinka, powiedział sobie. W lustrze zobaczył młodą dziewczynę, wchodzącą z tarasu przez oszklone drzwi.

Chavasse odwrócił się powoli. Oczy miała zbyt szeroko rozstawione, wargi zbyt pulchne. Długie, czarne włosy swobodnie opadały jej na ramiona, a biała, jedwabna sukienka, sięgająca tuż za kolana, była wcieleniem prostoty. Dziewczyna nie nosiła do sukni żadnych dodatków. I żadnych nie potrzebowała. Jak wszystkie wielkie piękności wcale nie była piękna, ale to absolutnie nie miało znaczenia. Przy niej inne kobiety na

sali wyglądały jak szare myszy.

Skierowała się do baru. Gdy przechodziła, goniły ją spojrzenia wielu osób i natychmiast przyczepił się do niej włoski pułkownik lotnictwa, wyglądał na wyrażenie niepodpityego. Chavasse odczekał chwilę i podszedł do dziewczyny.

- Ach, tu jesteś, kochanie - powiedział po włosku. - Wszędzie ci szukałem.

Miała znakomity refleks. Odwróciła się spokojnie, w ułamku sekundy oceniła sytuację i podjęła decyzję.

Przysunęła się i pocałowała go lekko w policzek.

- Powiedziała, że odchodzisz tylko na dziesięć minut. Doprawdy, żeby się zachowujesz.

Pułkownik lotnictwa zdiszował w tłumie, a Chavasse uśmiechnęła się.

- Moje kieliszki bolingera? Uwaga, że powinniśmy to uczcić.

- Z przyjemnością, panie Chavasse - odparła doskonale angielszczyzną. - Moje na tarasie? Tam jest chłodniej.

Chavasse wziął ze stołu dwa kielichy szampana i podał za nią lekko zdziwiony.

Rzeczywiście, na tarasie było chłodniej, odgłosy ruchu ulicznego dobiegały przytłumione i dalekie, a nocne powietrze przepelniał intensywny zapach jaśmin.

Usiadła na balustradzie i głębiej zaczerpnęła powietrza.

- Czy to nie cudowna noc? - Odwróciła się i popatrzyła na niego, wybuchając radosnym śmiechem. - Francesca... - przedstawiła się. - Francesca Minetti.

Wyciągnęła rękę, a Chavasse podał jej kielich szampana i tęskniła.

- Wyglądasz na to, że pani już wie, kim jestem.

Odchyliła się do tyłu i popatrzyła na gwiazdy. Gdy przemówiła, brzmiało to tak, jakby recytowała wyuczoną na pamięć lekcję.

- Paul Chavasse, urodzony w Paryżu w 1928 roku, ojciec Francuza, matka Angielka.

Studia na Sorbonie oraz uniwersytetach Cambridge i Harvard. Doktorat z filologii. Włada wieloma językami. Wykładowca uniwersytecki do 1954 roku. Od tej pory...

Zawiesiła głowę i popatrzyła na niego z namysłem. Chavasse zapalił papierosa. Nie odczuwał już zmęczenia.

- Od tej pory...?

- No cóż, na liście kadry dyplomatycznej figuruje pan jako trzeci sekretarz ambasady, ale z pewnością ci nie wygląda na niego.

- A na kogo według pani wyglądam? - zapytał spokojnie.

- Och, nie wiem. Na kogo, kto prowadzi bardzo ruchliwe życie. - Znowu przełknęła szampana i kontynuowała niedbałym tonem: - I jak tam było w Albanii? Zaskoczyło mnie, że wy dostał się pan stamtąd cały i zdrowy. Gdy tylko cznik w Tiranie zamknął, skreślił mi pana.

Znów wybuchnęła miechem, odrzucając głowę do tyłu, a zza pleców Chavasse'a rozległ się głos:

- No i co, Paul, mocno ci się dała we znaki?

Murchison, pierwszy sekretarz, kulejąc przeszedł przez taras. Był przystojnym, wytwornym mężczyzną o czerstwej, opalonej twarzy. Na lewej piersi jego smokingu cały szereg odznaczeń błyszczało wymiłowymi kolorami.

- Powiedzmy, że wie ona o mnie zbyt wiele, bym mógł zachować spokój.

- Powinna - stwierdził Murchison. - Francesca pracuje dla S2. Przez cały zeszły tydzień utrzymywała z tobą kontakt radiowy.

Chavasse odwrócił się szybko.

- To ty przekazałaś mi ze Skutari ostrzeżenie, bym uciekał?

- Miło mi było ci się przysłużyć. - Skłoniła się.

Nim zdumiony Chavasse odzyskał mowę, Murchison mocno ujął go za ramię.

- Tylko się nie przejmuj, Paul. Twój szef właśnie przybył i chce się z tobą spotkać.

Później może sobie porozmawiać z Francescą o dawnych czasach.

Chavasse uśmiechnął się i uciszył jej dłoń.

- Traktuj to jako obietnicę. Nie odchodź.

- Bądź tu czekać - zapewniła go. Odwrócił się i wszedł za Murchisonem do rodka.

Przez zatłoczony sal balowy przedostali się do holu wejściowego, między dwoma lokajami, stojącymi u stóp imponujących schodów, i wspierali się na pierwsze piętro.

W długim, wyłożonym grubym dywanem korytarzu panowała cisza, a dobiegająca z sali balowej muzyka brzmiała jak echo z innego świata. Pokonali jeszcze kilka schodków, następnie skręcili w krótszy, boczny korytarz i zatrzymali się przed pomalowanymi na biało drzwiami.

- Do rodka, mój stary - powiedział Murchison. - Postaraj się, by to nie trwało zbyt długo. Za pół godziny zaczyna się przedstawienie kabaretowe. Naprawdę godnego uwagi, to ci obiecuję.

Zawrócił w głąb korytarza. Jego kroki tłumiał gruby dywan. Chavasse zastukał do drzwi i wszedł do rodka.

Był to niewielki, skromnie urządzony pokój biurowy, ze ścianami pomalowanymi na zielonkawy kolor. Za biurkiem siedziała młoda, pulchna kobieta, pogrążona w pisaniu.

Okulary do czytania w grubej, ciemnej oprawce nie ujmowały jej urody.

Podniosła głowę i spojrzała przenikliwym wzrokiem. Chavasse uśmiechnął się.

- Co za niespodzianka.

Jean Frazer zdjął okulary, a na jej twarzy wyraźnie odmalowała się przyjemność.

- Fantastycznie wyglądasz. Jak tam było w Albanii?

- Nudno - odparł Chavasse. - Zimno, mokro, a korzy ci z powszechnego braterstwa ludzi nader mizerne. - Usiadł na brzegu biurka i sięgnął po papierosa do

pudełka ze srebra i drewna tekowego. - Co sprowadziło tutaj ciebie i starego? Sprawa alba ska nie była a tak wa na.

- Było spotkanie wywiadów NATO w Bonn. Gdy otrzymali my wiadomo , e wydostał si i jeste bezpieczny, szef zdecydował si pojecha do Rzymu, by odebra twój raport na miejscu.

- Nie wierz - odrzekł Chavasse. - Stary dra chyba nie ma dla mnie gotowego nast pnego zadania, prawda? Bo je li ma, to mo e o nim zapomnie .

- Czemu sam go nie spytasz? - powiedziała. - Wła nie czeka na ciebie.

Skin ła głow w stron drzwi, pokrytych zielonym obiciem. Chavasse patrzył na nie przez chwil , westchn ł ci ko i zgasił papierosa.

Drugi pokój był do połowy pogr ony w ciemno ci; o wietlała go jedynie lampa na biurku. M czyzna, stoj cy przy oknie i przygl daj cy si wiatłom Rzymu, był redniego wzrostu; z jego twarzy trudno było okre li wiek, za ciemne oczy miały dziwny wyraz zamy lenia.

- Znow si spotykamy - powiedział cicho Chavasse.

Szef odwrócił si . Kiwn ł głow .

- Ciesz si , e powróciłe cało, Paul. Słyszałem, e sprawy toczyły si tam do ostro?

- Mo na to tak nazwa .

M czyzna podszedł do fotela i usiadł.

- Opowiedz mi o tym.

- O Albanii? - Chavasse wzruszył ramionami. - Obawiam si , e wiele tam nie zdziałamy. Nikt nie mo e twierdzi , e ludzie zyskali cokolwiek od chwili, gdy komuni ci przej li władz w ko cu wojny; ale nie ma mowy, by kiedykolwiek nast piła tam kontrrewolucja. Tajna policja Sigurmi jest wszechobecna. Powiedziałbym, e jest najbardziej rozbudowana ze wszystkich w Europie.

- Przedostał si tam pod przykrywk Towarzystwa Przyja ni Włoskiej Partii Komunistycznej, prawda?

- Nie na wiele mi si przydało. Włosi przyj li mnie bez zastrze e , ale kłopoty zacz ły si , gdy dotarli my do Tirany. Sigurmi przydzieliła ka demu z nas po agencie, a prosz mi wierzy , byli to prawdziwi zawodowcy. Wymkni cie si im było nader trudne, a gdy to zrobiłem, natychmiast nabrali podejrze i zarz dzili poszukiwanie mnie w całym kraju.

- A co z Parti Wolno ci?

- Od zeszłego tygodnia mo e pan o niej mówi w czasie przeszłym. Kiedy przyjechałem, ich organizacja skurczyła si do dwóch komórek. Jedna w stolicy, Tiranie, druga w Skutari. Obie były nadal w kontakcie z nasz baz S2 tutaj w Rzymie.

- Czy udało ci si skontaktowa z ich przywódc , tym jakim Lucim?

- Na moment. Tej nocy, gdy mieli my si spotka , by naprawd przedyskutowa spraw , został zdj ty przez ludzi Sigurmi. Zrobili „kocioł” w jego mieszkaniu, by mnie

nakry .

- Jak ci si udało unikn wpadki?

- W chwili gdy policja włamywała si do niego, Luci zd ył nada sygnał radiowy do komórki w Skutari. Oni „za przekazali to do centrali S2 w Rzymie. Miałem szcz cie, e na słu bie był kto umiej cy szybko my le ... dziewczyna nazwiskiem Francesca Minetti.

- Jest tu jednym z naszych najlepszych ludzi - powiedział szef. - Kiedy opowiem ci o niej.

- Z Albanii wyostałem si na pokładzie łodzi motorowej Buona Esperanza, nale cej do człowieka imieniem Giulio Orsini. Chłop na schwał. Był szyprem jednej z pierwszych łodzi torpedowych włoskiej marynarki wojennej podczas wojny. Jego najlepszym numerem było zatopienie paru naszych niszczycieli w Aleksandrii w 1941 roku. I do tego powrócił nietkni ty. Teraz jest przemysłnikiem. Robi mas rejsów do Albanii. Stamt d pochodziła jego babka.

- Jak pami tam, według pierwotnego planu miał on czeka na ciebie przez trzy noce z rz du w zatoczce koło Durres. To szos jakie pi dziesi t kilometrów od Tirany, prawda?

Chavasse potwierdził skinieniem.

- Gdy Francesca Minetti odebrała depe sz ze Skutari, zaryzykowała i przekazała j Orsiniemu na łód . Ten wariat pozostawił swój łajb pod opiek załogi, wyl dował, ukradł samochód w Durres i pojechał prosto do Tirany. Dopadł mnie w hotelu w chwili, gdy wychodziłem na spotkanie z Lucim.

- Powrót na wybrze e musiał by nie lada sztuk .

- Natkn li my si na niewielkie kłopoty. Ostatnie szesna cie kilometrów do brzegu musieli my przej piechot . Gdy ju znale li my si na Buona Esperanza, reszta była łatwa.

Alba czycy nie maj licz cej si marynarki wojennej. Pół tuzina poławiaczy min i par cigaczy łodzi podwodnych. Buona Esperanza jest o dziesi w złów szybsza ni ka dy z ich okr tów.

- Wygl da, e Orsiniemu nale ałaby si premia za to wszystko.

- To zbyt słabo powiedziane.

Szef skin ł głow , otworzył teczk z oficjalnym raportem Chavasse'a i przerzucił kartki.

- A wi c w Albanii tracimy czas?

Chavasse skin ł głow .

- Obawiam si , e tak. Wie pan, jak tam sprawy wygl daj od Dwudziestego Kongresu Partii w 1956 roku, a teraz Chi czycy wle li ju obiema nogami.

- Czy jest co , co powinno nas niepokoi ?

Chavasse potrz sn ł przecz co głow .

- To najbardziej zacofany kraj europejski ze wszystkich jakie widziałem, a

Chi czycy s zbytnie daleko od domu, by móc tam wiele zdziałać .

- A co z tą bazą morską w Valona, używaną przez Rosjan, nim się stamtąd wycofali?

Byli pogłoski, że przebudowali ją na coś w rodzaju Czerwonego Gibraltaru na Adriatyku.

- Drugiego dnia wizyty Alb-Tourist zabrał nas tam na oficjalną wycieczkę . To miejsce trudno nazwać portem. Dobra przystań naturalna, ale tylko dla łodzi rybackich. Z pewnością ci ani ładu hangarów dla łodzi podwodnych.

- A Enwer Hod a... my lisz, że nadal twardo trzyma ster?

- I jeszcze mocniej. Trzeciego dnia widzieliśmy go na rewii wojskowej. Robi wrażenie, szczególnie w mundurze. Z pewnością ci w tej chwili jest bohaterem narodowym.

Bóg jeden wie, jak jeszcze długo.

Szef zamknął teczkę szybkim ruchem, który w jakiś sposób oznaczał zamknięcie całej sprawy i odesłanie jej w przeszłość .

- Dobra robota, Paul. Wreszcie wiemy, na czym stoimy. Kolejna część układanki.

Teraz należy ci się trochę urlopu, prawda?

- Zgadza się - powiedział Chavasse, czekając na dalszy ciąg.

Szef wstał, podszedł do okna i przyjrzał się bliżej temu miastu, spoglądając nad nim aż do Tybru.

- Co chciałby robić ?

- Spędzi tydzień - dwa w Matano - odparł bez wahania Chavasse. - To taki mały port rybacki koło Bari. Jest tam dobra plaża oraz knajpa nad wodą, zwana Tabu, której właścicielem jest Giulio Orsini. Obiecał mi trochę swobodnego nurkowania. Ciesz się na to z góry.

- Tego jestem pewien - zauważył szef. - Brzmi zachęcająco.

- Dostanę ten urlop?

Minutę później znówu objął miasto spojrzeniem i jakby z roztargnieniem odrzekł:

- O tak, Paul, możesz wziąć ten urlop... gdy tylko wykonasz dla mnie małą robotkę .

Chavasse jęknął; szef odwrócił się od okna i podszedł do biurka.

- Nie martw się, to nie zabierze ci wiele czasu, ale będziesz musiał wyjechać jeszcze tej nocy.

- Czy to konieczne?

Minutę później skinął głową .

- Mam już przygotowany rodek transportu, tobie za potrzebna będzie pomoc.

Najlepiej, gdyby to był ten Orsini, sędziąc z tego, co o nim powiedziało . Zaproponujemy dobrą cenę .

Chavasse westchnął, myśląc o Francesce Minetti czekającej na tarasie, o dobrych

potrawach i winach w pomieszczeniu piętro niżej. Znowu westchnął i starannie zgasił papierosa.

- Co mam zrobić ?

Szef posunął w jego stronę inną teczkę .

- Enrico Noci, podwójny agent, pracujący dla nas i dla Albanczyków. Z początku to mnie nie martwiło, ale teraz wzięli się za niego Chińczycy.

- Niezdrowa sytuacja.

- Z nimi tak jest zawsze. Jak na mój gust, są cholernie gorliwi. W Bari czeka łódź, by jutro w nocy zabrać Nociego do Albanii. Wszystkie szczegóły masz tutaj.

Chavasse uważa nie przyjrzał się zdjąć ciu. Ponura, miścisista twarz oraz usta zdradzają słaby charakter. Człowiek, który prawdopodobnie ponosił porażki we wszystkim, za co się wzięł, może z wyjątkiem kobiet. Wyglądał na takiego opalonego plaowicza czy surfera, na jakich niektóre z nich leczyły.

- Czy mam go doprowadzić ?

- Po jakie лихо? - Szef potrząsnął głową . - Pozbądź się go. Wypadek podczas kąpieli morskiej, czy cokolwiek zechcesz. Ładnej brudnej roboty.

- Oczywiście - spokojnie potwierdził Chavasse.

Jeszcze raz przejrzał teczkę, zapamiętał jej zawarte w niej dane, po czym odłożył ją i wstał.

- Zobaczymy się w Londynie?

Szef potwierdził skinieniem.

- Za trzy tygodnie, Paul. Miłych wakacji.

- Czy nie mam zawsze takich?

Mieczysław przysunął do siebie teczkę, otworzył ją i zaczął studiować zawartość .

Chavasse wyszedł, cicho zamykając drzwi za sobą .

2

Piękna noc do umierania

Enrico Noci leżał, wpatrując się w sufit w ciemnościach i paląc papierosa. Obok niego spała kobieta; czuł jej gorące udo przy swoim. Raz poruszyła się, odwracając do niego, ale się nie obudziła.

Sięgnął po kolejnego papierosa i w tym momencie usłyszał lekki, łatwy do odróżnienia dźwięk: coś wepchnięto do skrzynki na listy w przedpokoju. Ostro nie, by nie obudziła kobiety, wysunął się z pościeli i bosonóż poczłapał do drzwi po wyłożonej płytkami ceramicznymi podłodze.

Na wycieraczkę przed frontowym wejściem leżała duża brązowa koperta. Zabrał ją do kuchni, zapalił gaz pod dzbankiem do kawy i otworzył pakiet. Wewnątrz znajdowała się druga, mniejsza koperta; ta właśnie, którą miał zabrać ze sobą, oraz

kartka z poleceniem wyjazdu, napisana na maszynie. Przeczytał ją uważnie, po czym spalił nad kuchenką.

Zerknął na zegarek. Dochodziła północ. Do czasu, by wziąć gorącą kąpiel i co zje. Przeciwnie się leniwie, czując wyraźne zadowolenie. Ta kobieta to było rzeczywiście coś. Z całą pewnością ci dobra rozrywka na jego ostatni wieczór.

Pławił się a po brodzie w gorącej wodzie. Nieduża łazienka była pełna pary, gdy drzwi otworzyły się. Kobieta weszła do łóżka, ziewając i zawiązując pasek jego jedwabnego szlafroka.

- Wracaj do łóżka, caro - powiedziała słosnym głosem.

Nawet za cenę własnego życia nie mógłby przypomnieć sobie jej imienia. Umiechnął się.

- Kiedy indziej, aniołku. Musz ruszyć w drogę. Przygotuj jajecznicę i kawę jak dobra dziewczynka. Mam wyjść za dwadzieścia minut.

Gdy w dziesięć minut później opuszczał łazienkę, był wie o ogolony, ciemne włosy miał gładko szesane do tyłu, a na sobie drogi, rzadnie robiony sweter i sportowe spodnie.

Kobieta nakryła stoliczek pod oknem i postawiła przed Nocim talerz z jajecznicą.

Jedząc odsunął jeden ręką zasłonę w oknie i ponad wiatłami Bari popatrzył na wybrzeże. Miasto stało ciche, a w słotym świetle latarni ulicznych widać było się pić drobny deszczyk.

- Czy wrócisz? - zapytała.

- Kto to wie, kotku? - Wzruszył ramionami. - Kto wie?

Dopił kawę, przeszedł do sypialni, zabrał stamtąd ciemnoniebieski płaszcz przeciwdeszczowy i niewielką, płócienną torbę podróżną, po czym wrócił do salonu.

Dziewczyna siedziała przy stoliku z filiżanką kawy w dłoniach i łokciami opartymi na blacie.

Wyjął portfel, wyciągnął parę banknotów i rzucił je na stół.

- Przyjemnie było, aniołku - powiedział i poszedł w stronę drzwi.

- Znasz mój adres.

Gdy zamykał drzwi wejściowe i skręcał w ulicę, było dokładnie wpół do pierwszej.

Deszcz padał teraz całkiem gęsto, a w głębi ulic słała się mgła, ograniczając widoczność do trzydziestu, może czterdziestu metrów.

Szybkim krokiem przemierzył kilka ulic i po dziesięciu minutach zatrzymał się przy małym czarnym fiacie. Otworzył drzwiczki, podniósł róg wykładziny, pod którą znalazł kluczyk do stacyjki. W chwili później odjechał.

Na przedmieściu Bari zatrzymał się i przyjrzał się mapie wyjętej ze schowka na rękawiczki. Matano znajdowało się około dwudziestu kilometrów dalej, przy nadbrzeżnej szosie, prowadzącej na południe do Brindisi. Do łatwa jazda, choć mgła może ją trochę opóźni.

Zapalił papierosa i ruszył ponownie, skupiając się na prowadzeniu, bo mgła coraz bardziej się stniała. Wreszcie zmusiła go do znacznego zmniejszenia prędkości, a chwilami musiał nawet wysuwać głowę przez boczne okno. Upłynęła prawie godzina, nim dotarł do drogowskazu, kierując się do Matano.

Jadąc w skrajnych drogach, czuł zapach morza wśród mgły, która zdawała się stopniowo przecierać. W kwadrans później dotarł do Matano i przez ciche ulice skierował wóz w stronę nadbrzeża.

Zgodnie z instrukcją zaparkował w zaułku koło knajpy Tabu i resztę drogi przebył na piechotę. Wokół panowała niezmiernie cisza, a jedynym dźwiękiem, jaki słyszał schodząc schodkami w dół było pluskanie wody o słupy mola. W świetle samotnej lampy nabrzeże wyglądało na opuszczone. Zatrzymał się w połowie drogi, by przyjrzeć się motorowej łodzi przycumowanej na samym końcu. Dziewięćmetrowa, o stalowym kadłubie, prawdopodobnie zbudowana w stoczni Akerboon - doszedł do wniosku. Była w doskonałym stanie, połyskiwała morskimi farbami, które była pokryta. Czego takiego nie oczekiwał. Lekko marszcząc brwi odczytał na jej rufie napis Buona Esperanza. Gdy przeszedł nad nadburciem, ujrzał, że czarna rufowa jest obwieszona sieciami, które jeszcze mokrymi po całodziennej pracy i mierzwiły rybami. Pokład był liski od rybich łusek.

Gdzieś daleko otworzyły się drzwi nocnej kawiarni i doleciała muzyka, przyciszona i odległa, a Noci z jakiegoś niewytłumaczonego powodu zadrżał. W tym momencie zdał sobie sprawę, że ktoś mu się przygląda.

Mężczyzną był młody, szczupły i chudy, z twarzą spaloną słońcem, której dawno nie dotykała maszyna do golenia. Miał na sobie drelichowe spodnie i starą ceratową kurtkę; jego spokojne, pozbawione wyrazu oczy patrzyły spod starej marynarskiej czapki. Stał koło pokładówki, w jednej ręce trzymał zwiniętą linę i nie odzywał się. Gdy Noci zrobił krok w jego stronę, drzwi sterówki otworzyły się i pojawił się drugi mężczyzna.

Miał co najmniej metr dziewięćdziesiąt wzrostu, a szerokie bary wyraźnie rysowały się pod kurtką z grubej niebieskiej tkaniny. Głowa przykrywała mu stara czapka oficerska włoskiej marynarki wojennej, ze złotymi galonami poczerwiałymi od słonego wiatru i wody.

Miał chyba najpaskudniejszą twarz ze wszystkich, jakie Noci widział, z nosem zmiażdżonym i spłaszczonym i białą linią starej szramy, biegnącą od prawego oka do końca podbródka. W zębach trzymał cygaro, jakie szczególnie lubili holenderscy marynarze, i odezwał się, nie wyjmując go z ust.

- Giulio Orsini, właściciel łodzi.

Noci z ulgą poczuł, że napięcie zaczęło ustępować.

- Enrico Noci.

Wyciągnął dłoń, Orsini ujął ją na krótko i kiwnął głową w stronę młodego majtka.

- W drog , Carlo. - Machn ł kciukiem w kierunku zej ciówki. - W salonie znajdziesz drinka. Nie wychod stamt d, póki ci nie powiem.

Gdy Noci poszedł we wskazanym kierunku, Carlo odcumował i szybko pod ył na ruf . Silnik o ył z grzmotem rozdzieraj cym cisz i Buona Esperanza odchodz c od nabrze a zanurzyła si we mgł .

Salon był ciepły i przyjemnie umeblowany. Noci rozejrzał si z zadowoleniem, postawił na stole płócienn torb podró n i si gn wszy do szafki stoj cej w k cie, nalał sobie wielk porcj whisky. Wypił j jednym haustem, zapalił papierosa i uło ył si na jednej z koi. Czuł, jak ogarnia go przyjemne ciepło.

W porównaniu ze star łajb , na której dawniej musiał przedostawa si do Albanii, warunki były zdecydowanie lepsze. Orsiniego nigdy dotychczas nie widział, lecz nie było w tym nic dziwnego. Twarze zmieniały si nieustannie. W tym biznesie nie opłacało si ryzykowa .

Łód uniosła dziób, gdy pot ny silnik nabrał mocy, a na ustach Nociego pojawił si u mieszek zadowolenia. Przy takiej szybko ci wysadz go na brzeg koło Durres, nim nadejdzie wit. W południe b dzie ju w Tiranie. Kolejne pi tysi cy dolarów na jego koncie w Banku Genewskim, a jest to ju szósta podró . Całkiem nie le, ale nie mo na doi krowy zbyt cz sto. Teraz był wskazany odpoczynek... długi odpoczynek.

Postanowił pojecha na Wyspy Bahama. Białe pla e, bł kitne niebo i licznie opalona dziewczyna, na spotkanie mu brn ca po uda przez morskie fale. Najlepiej Amerykanka. Były tak naiwne, tak wiele trzeba było je uczy .

Silniki krótko zakaszłały i zgasły, Buona Esperanza zwolniła gwałtownie, a jej dziób opadł na fale. Noci usiadł i przekrzywił głow na bok, nasłuchuj c. Jedyнным dolatuj cym głosem był plusk fal o kadłub.

Jaki szósty zmysł, wynik lat sp dzonych na zdradzie i szachrajstwie, prze ytych dzi ki przezorno ci, ostrzegł go, e co jest nie w porz dku. Skoczył na nogi, chwycił sw torb podró n , odsun ł zamek błyskawiczny i wyci gn ł berett . Odbezpieczył j i podszedł do stóp zej ciówki. Nad jego głow drzwi otwierały si i zamykały, popiskuj c cicho, w miar jak łód kołysała si na falach.

Wspi ł si szybko, sun c jedn dłoni po cianie, zatrzymał si i ostro nie podniósł głow . Pokład był pusty, w blasku wiatel pozycyjnych m awka wygl dała jak srebrna paj czyna.

Wyszedł na zewn trz i ujrzał, jak po jego prawej stronie zapala si zapalka i z ciemno ci wynurza człowiek, pochylaj cy głow z papierosem w ustach. Płomyk o wietlił przystojn , szata sk twarz z oczami jak czarne dziury nad wystaj cymi ko mi policzkowymi. M czyzna odrzucił zapalk i stał z r kami w kieszeniach spodni. Miał na sobie gruby sweter rybacki, a jego ciemne włosy połyskiwały od wilgoci.

- Signor Noci? - spytał spokojnie po włosku.

- Kim, u diabła, pan jeste ? - zapytał Noci czuj c, jak na jego sercu zaciskaj si

lodowate palce.

- Nazywam się Chavasse, Paul Chavasse.

To nazwisko było Nociemu dobrze znane. Mimo woli zaparło mu dech w piersi.

Podniósł berett, lecz nie zdążył jej użyć, gdy jakaś elazna dłoń cisnęła mu nadgarstek, wyluskując broń z ręki i usłyszał Guilia Orsiniego:

- Nie radz.

Z ciemno ci na lewo wynurzył się Carlo i stanął wyczekując. Noci rozejrzył się bezradnie, a Chavasse wyciągnął rękę.

- Teraz dasz mi kopertę.

Noci wyciągnął ją i niechcinnie i podał, próbując zachować spokój, gdy Chavasse badał zawartość. Byli nie dalej niż o pół mili od brzegu; adeń dystans dla człowieka, który pływał od dzieciństwa. A Noci nie miał żadnych złudzeń, co nastąpi, jeżeli tu zostanie.

Gdy Chavasse odwrócił pierwszy kartkę papieru, Noci dał nura pod ramieniem Orsiniego i pobiegł do nadburcia rufowego. Doleciał do niego nagły krzyk, nieznany głos, oczywiście Carla, a potem po lizgnął się na jakichś rybich łuskach i wysładował głowę naprzód w ród rozwieszonych sieci.

Próbował podnieść się, lecz czyjś kopniak powalił go na pokład, a potem poczuł na sobie miękko przylegającą, smrodliwą siatkę. Został pociągony do przodu na dłoniach i kolanach, a gdy spojrzął przez siebie w górę, ujrzał Chavasse'a, patrzęcego na niego z zimnym i spokojnym wyrazem szatańskiej twarzy.

Orsini i Carlo mieli w rękach linę i w tym przerażającym momencie Noci zrozumiał, co zamierzają zrobić. Z jego gardła wydobył się ryk.

Orsini z całej siły pociągnął za linę, a Noci przeleciał przez pokład i zderzył się z niskim nadburciem. Czyjaś stopa rębnieła go ostro w plecy i wypadł do zimnej wody.

Gdy wynurzył się na powierzchnię, sięgnęła mu, mimo rozpaczliwych wysiłków, wykonanie jakiegokolwiek ruchu. Zobaczył, że Orsini owija koniec liny o nadburcie, a Carlo wychyla się w oczekiwaniu przez okno sterówki. Uniosła się rękawka i Buona Esperanza skoczyła do przodu.

Noci z krzykiem poszedł pod wodę, po czym wynurzył się, gwałtownie łapiąc powietrze. Teraz widział już tylko Chavasse'a, przyglądającego mu się z nadburcia, z twarzą spokojną w przyćmionym przez mgłę wietle. A potem, gdy łódź przy pieszyla, Noci zanurzył się po raz ostatni.

Kiedy walczył ze wszystkich sił z wodą, wyciskając mu powietrze z płuc, nie odczuwał żadnego bólu. Zdawało mu się, że leży na miękkim, białym piasku pod błękitnym niebem, a przełiczną, opaloną dziewczyną brnie w jego stronę przez morze i uderza się do niego.

wi ta Dziewica ze Skutari

Chavasse był zmęczony, gardło miał obolałe od zbyt wiele wypalonych papierosów.

Pod niskim sufitem zawisł warstwami dym, poruszający się w ciepłe jedynej arówki na pokrytym zieloną tkaniną stołem.

Przy grze siedziało sześciu mężczyzn: Chavasse, Orsini, jego majtek Carlo Arezzi, dwóch kapitanów statków rybackich i sierżant policji. Orsini zapalił kolejne niemieckie holenderskie cygaro i popchnął na bok stół następujące dwa krzesła.

Chavasse potrząsnął głową i cisnął karty.

- Za duży o jak na mój gust, Giulio.

Rozległ się zgodny pomruk obecnych, a Giulio Orsini uśmiechnął się szeroko i zgarnął wygraną.

- Blef, Paul, zawsze wielki blef. Tylko to liczy się w tej grze.

Chavasse zaczął się zastanawiać, czy to wyjątkiem, czemu zawsze tak marnie gra w karty. Z jego punktu widzenia działanie powinno logicznie wynikać ze starannej kalkulacji stopnia ryzyka. W wielkiej grze ryzyka i mierności, w której grał już tak długo, człowiek rzadko mógł bezkarnie zablokować przeciwnika jeden raz.

Odsunął krzesło i wstał.

- Dla mnie to by było do zobaczenia na dziś, Giulio. Spotkamy się rano na nabrzeżu.

Orsini kiwnął głową.

- Punkt siódma, Paul. Może złapiemy dla ciebie tego wielkoluda.

Gdy Chavasse zbliżył się do drzwi, znów rozdawano karty. Otworzył i wszedł do pobielonego wapnem korytarza. Pomimo późnej godziny słyszał muzykę i beztrudnie przebiegał.

Zdjął z wieszaka swój starożytny marynarski kurtkę, ubrał się i wyszedł bocznymi drzwiami.

Odetchnął głębiej, by rozjaśnić sobie w głowie, a zimne nocne powietrze aż zabolało go w płucach. Znad morza napływała mgiełka i dokoła, prócz słabo dolatującej z Tabu muzyki, panowała cisza.

W kieszeni znalazł pogniecioną paczkę papierosów, wyciągnął jednego i potarł zapalniczką o ciano, na moment oświetlając swoją twarz. Z woskiego zaułka naprzeciwko wynurzyła się kobieta, zawahała się, a potem skierowała w stronę nabrzeża. Echo jej wysokich obcasów niosło się przez noc. W chwili późniejszej frontowymi drzwiami wyszło z Tabu dwóch marynarzy; minęli go i podziękowali kobietom.

Chavasse oparł się o ciano, czując dziwne przynajmniej. Czasami zastanawiał się, o co w tym wszystkim chodzi - nie tylko w niebezpiecznej grze, którą prowadził, ale w życiu w ogóle. Uśmiechnął się w ciemności. Trzecią rano na nabrzeżu dowolnego portu to wspaniały czas na tego rodzaju rozważania.

Kobieta krzyknęła. Cisnął papierosa i stał nasłuchując. Znowu rozległ się krzyk,

dziwacznie przytlumiony. Rzucil si do biegu w stron nabrze a. Okr ył nara nik i ujrzał dwóch marynarzy, przyciskaj cych j do ziemi pod latarni uliczn .

Gdy bli szy z nich odwrócił si zaalarmowany, Chavasse trafił go butem w twarz i posłał do tyłu. Drugi przeklinaj c skoczył na napastnika; w jego prawej dłoni błysn ło stalowe ostrze.

Chavasse ujrzał czarn brod , płon ce oczy i dziwacz n , krzyw blizn na prawym policzku marynarza. Cisn ł mu w twarz sw czapk , a potem uderzył kolaniem w odsłoni t pachwin . Napastnik wij c si padł na ziemi ; Chavasse ocenil wzrokiem odległo i kopn ł go w głow .

Poni ej, w wodzie dała si słysze gwałtowna kotłowanina. Chavasse podszedł bli ej i zobaczył, jak pierwszy z m czynz odpływa w ciemno . Patrzył za nim, a ten znikn ł, a potem odwrócił si i poszukał wzrokiem kobiety.

Stała w cieniu bramy. Podszedł do niej.

- Nic pani nie jest?

- Tak s dz - odrzekła dziwnie znajomym głosem i wynurzyła si z ciemno ci.

Ze zdumienia szeroko otworzył oczy.

- Francesca... Francesca Minetti. Co, u diabła, tutaj robisz?

Sukienk miała rozerwan od szyi do pasa. Przytrzymała j z lekkim u mieszkim na twarzy.

- Podobno mieli my si spotka na tarasie ambasady tydzie temu. Co si stało?

- Co si przytrafiło - odparł. - Jak zawsze w moim yciu. Ale co ty robisz nad morzem w Matano o tej porze, nad ranem?

Zachwiała si do przodu i w sam por zdołał j pochwyci , przytulaj c na krótk chwil do swej piersi. U miechn ła si słabo do niego.

- Bardzo mi przykro, ale nagle poczułam lekki zawrót głowy.

- Dok d chcesz si dosta ?

Odsun ła z czoła pasmo włosów.

- Zostawiłam mój wóz gdzie tu w pobli u, ale we mgle wszystkie ulice wygl daj jednakowo.

- Lepiej pójd ze mn do hotelu - o wiadczył. - To tu za rogiem. - Zsun ł z ramion sw kurt i okrył ni Francesc . - Prawdopodobnie b d mógł zapewni ci ló ko.

Wybuchn ła miechem i na chwil stała si znowu t sam wesoł , interesuj c dziewczyn , z jak spotkał si na balu w ambasadzie.

- Pewna jestem, e b dziesz mógł.

U miechn ł si i obj ł j ramieniem.

- My ł , e jak na jedn noc, masz dosy podniecaj cych przygód.

Za ich plecami rozległo si szuranie podeszwy po bruku. Chavasse odwrócił si błyskawicznie i ujrzał we mgle drugiego z marynarzy, który stał chwiej c si i zakrywał dło mi zmia d on twarz.

Chavasse ruszył w jego kierunku, ale Francesca chwyciła go za rękaw.

- Daj mu odejść. Nie chcę, by policja wmixowała się w tę sprawę.

Schyliwszy głowę, popatrzył na jej zaniepokojony i napięty twarz.

- Zgoda, Francesco. Jeśli tak sobie życzysz. - Ruszyli wzdłuż mola, a następnie skręcili na nadbrzeże.

Działo się tu coś dziwnego, coś, czego nie rozumiał. Jak na miasto portowe Matano było nader spokojne, ale nie na tyle, by ładne młode kobiety mogły o trzeciej nad ranem samotnie spacerować w rejonie przystani i spodziewać się, że ujdzie im to na sucho. Jedno było pewne. Musiała być doprawdy ważną przyczyną, dla której znalazła się tu Francesca Minetti.

Hotel mieścił się w niedużym, otynkowanym budynku na rogu, ze starym elektrycznym szyldem nad wejściem; był czysty i tani, a karmiono tu dobrze. Prowadził go przyjaciel Orsiniego.

Właśnie spał przy biurku z głową ukrytą w dłoniach, więc Chavasse sam sięgnął do tablicy i zdjął klucz z haczyka. Przeszli przez hol, weszli po drewnianych schodach i znaleźli się w białym korytarzu.

Skromne umeblowanie pokoju stanowiło mosiężne łóżko, umywalka i stara szafa na ubrania. Jak wszędzie w tym hotelu ściany były białe, a podłoga wyfrotowana do połysku.

Francesca stanęła w drzwiach, jedną ręką przytrzymując sukni pod szyją. Rozejrzała się wokół z aprobatą.

- Miło tutaj. Dawno tu mieszkasz?

- Już prawie tydzień. Mój pierwszy urlop od roku, może jeszcze dłużej.

Otworzył szafę, poszperał w odzieży i wydobyl czarny wełniany sweter z golfem.

- Przymierz to, a ja tymczasem naleję ci drinka. Wyglądasz, jakby tego potrzebowała.

Podszedł do szafki w kącie, a Francesca odwróciła się tyłem i naciągnęła sweter.

Wyjął butelkę whisky i umył dwie szklanki w miednicy na umywalce. Gdy się odwrócił, stała przy łóżku przypatrując mu się. Wyglądała niezwykle młodo i bezbroniście; sweter zwisał na niej luźno.

- Na lito bosko, usiedź, nim się przewrócisz - powiedział.

Przy oszklonych drzwiach prowadzących na balkon było tylko jedno trzcinowe krzesło. Osunęła się na nie i oparła głowę o szybę, wpatrując się w ciemność. Gdzieś na morzu zahuczała syrena mgłowa. Dziewczyna zadręłała.

- Myślisz, że jest to głos najwiskiej samotności.

- Thomas Wolfe tak odbierał gwizd pociągu - powiedział Chavasse, nalewając whisky do szklanek.

- Thomas Wolfe? Kto to taki? - Miała zaskoczony min.

Wzruszył ramionami.

- Po prostu pisarz... Człowiek, który wiedział wszystko o samotności. - Przełknął trochę alkoholu. - Dziewczyny takie jak ty nie powinny w nocy znajdować się na nadbrzeżu.

Przypuszczam, że wiesz o tym? Gdybym nie nadszedł, to znalazłaby swój koniec w wodzie.

Potrzebowała głowę.

- To nie był tego rodzaju napad.

- Rozumiem. - Znowu popił whisky i zastanowił się nad jej słowami. - Jeśli ci to pomoże, to jestem dobrym słuchaczem.

Podniosła szklankę oburzenia i przyjrzała się zawartości; na jej twarzy malował się niepokój.

- Czy to coś oficjalnego? Może jedna z operacji S2? - zapytał łagodnie Chavasse.

Spojrzała na niego naprawdę przerażona i energicznie pokręciła głowę.

- Nie, oni nic o tym nie wiedzą i nie powinni się dowiedzieć, musisz mi to obiecać. To sprawa rodzinna, całkiem prywatna.

Odstawiła szklankę, wstała i zaczęła niespokojnie chodzić po pokoju. Gdy się odwróciła, miała udręzioną minę. Szybkim, nerwowym ruchem odgarnęła włosy do tyłu i rozejrzała się.

- Cały kłopot w tym, że zawsze pracowałam na tyłach. Nigdy w terenie. Po prostu nie wiem, co poczuję w takiej sytuacji jak ta.

Chavasse wyciągnął papierosa, jednego włożył do ust, a paczkę rzucił dziewczynie.

- To może mi o tym powiesz? Jestem odpowiednim facetem dla ładnych kobiet, które znalazły się w rozpaczliwym położeniu.

Odruchowo schwyłała rzuconą paczkę. Wolno skinęła głową.

- Zgoda, Paul, ale wszystko, co ci powiem, jest poufne. Nie chcę, by dowiedzieli się czegokolwiek mojego przeżycia w S2. Mogłabym mieć z tego powodu duże kłopoty.

- W porządku - powiedział.

Wróciła na krzesło, wydobyla papierosa z paczki i pochyliła się po niego.

- Co ty o mnie wiesz, Paul?

Wzruszył ramionami.

- Pracujesz w Rzymie dla S2. Mój własny szef powiedział mi, że należysz do najlepszych ludzi, jakich tu mamy, a to mi wystarczy.

- Pracuję w S2 już od dwóch lat - odrzekła. - Moja matka była Albank, córka wodza ghegów, więc płynnie mówi tym językiem. Jak się działo, przede wszystkim to ich we mnie zainteresowało. Mój ojciec był pułkownikiem włoskich strzelców górskich w armii okupacyjnej w 1939 roku. Został zabity na początku wojny na Zachodniej Pustyni.

- Czy twoja matka jeszcze żyje?

- Zmarła pięć lat temu. Gdy Enver Hoda i komuniści przejęli władzę, nie mogła już wrócić do Albanii. Jej dwóch braci należało do rojalistycznej organizacji w północnej

Albanii. Podczas wojny walczyli wraz z Abasem Kupim. W roku 1945 Hod a zaprosił ich, by zeszli z gór na konferencję pokojową, na której ich natychmiast rozstrzelano.

Twarz dziewczyny nie wyrażała bólu, w ogóle żadnych uczuć prócz spokojnego pogodzenia się z tym, co od dawna musiało być dla niej tylko faktem dokonany.

- To przynajmniej wyjaśnią, czemu zgodziła się chętnie na pracę w S2 - powiedział cicho Chavasse.

- Nietrudno było podjąć taką decyzję. Miałam tylko starego wujka, brata mego ojca, który nas wychował, a do zeszłego roku mój brat jeszcze przebywał w Paryżu, studiując ekonomię polityczną na Sorbonie.

- Gdzie jest teraz?

- Gdy widziałam go po raz ostatni, leżał twarzą w dół w błotach rzeki Buna w północnej Albanii z serią pocisków z karabinu maszynowego w plecach.

Chavasse ostro nie przerwał milczenia.

- Kiedy to było?

- Trzy miesiące temu. Podczas mego urlopu. - Podniosła szklankę. - Czy mogła dostać jeszcze?

Lał whisky, póki nie dała znaku dłoni. Wypiła małymi łykami. Zdawało się, że całkowicie panuje nad swoimi emocjami - Była w Albanii nie tak dawno temu. Wiesz, jaka tam jest sytuacja.

Kiwnął głową.

- Niczego gorszego jeszcze nie widziałem.

- Czy podczas twych podróży widziałe jakieś kościoły?

- Wyglądało, że jeden czy dwa nadal jeszcze funkcjonują. Ale wiem, że do oficjalnej linii partyjnej należałoby zduszenie wszelkich wyznań.

- Islam zmienił się już niemal całkowicie - odparła suchym, rzeczowym tonem. - Cerkiew albańska wyszła z tego odrobinę lepiej, ponieważ pozbawiła stanowiska swego arcybiskupa i powołała na jego miejsce kapłana lojalnego wobec komunistów. Najbardziej przeładowany jest Kościół rzymskokatolicki.

- Znany wzór postępowania. Tej organizacji komunistów obawiaj się najbardziej.

- Z aresztowanych dwóch arcybiskupów i czterech biskupów dwóch zostało zastrzelonych, a trzeci oficjalnie figuruje jako zmarły w więzieniu. W Albanii Kościół prawie przestał istnieć, a przynajmniej tak nadzieją mają władze.

- Przyznaj, że sam odniosłem takie wrażenie.

- W ostatnich latach na północy nastąpiło zdumiewające odrodzenie uczuć religijnych - odrzekła. - Pod wpływem zakonu franciszkanów w Skutari. Tam nawet niekatolicy tłoczyli się w kościołach. Władze centralne w Tiranie bardzo to zaniepokoiło. Zdecydowały, że trzeba coś z tym zrobić. Coś spektakularnego.

- Na przykład?

- Za miastem znajduje się słynna świątynia pod wezwaniem Matki Boskiej ze Skutari oraz grotta i uzdrowiskowe źródło - cel pielgrzymek od czasu wojen krzyżowych.

Posąg jest ze złoconego hebanu. Niezwykle cenny zabytek. Nazywaj go Czarna Madonna. Istnieje tradycja, że tylko z powodu jego cudownej potęgi tureccy władcy w dawnych czasach pozwolili chrześcijaństwu przetrwać w całym kraju.

- Co zamierzają zrobić władze centralne?

- Zniszczą ją tuż teraz, skonfiskują posąg i spali go publicznie na głównym placu w Skutari. Franciszkanie zostali ostrzeżeni i udało im się ukryć Madonnę w tym samym dniu, gdy władze zamierzały wkroczyć.

- I gdzie jest teraz?

- Gdzieś w błotach Buni, na dnie laguny, w szalupie mojego brata.

- Co się stało?

- To proste. - Wzruszyła ramionami. - Marco zainteresował się stowarzyszeniem albańskich uciekinierów, zamieszkałych w Taranto. Jeden z nich, nazwiskiem Ramiz, dowiedział się o Madonnie przez kuzyna zamieszkałego w Tami w Albanii. To takie małe miasteczko nad brzegiem rzeki, o pięć kilometrów od morza.

- I postanowili przedostać się tam, by ją wywieźć?

- Paul, Czarna Madonna to nie zwyczajny posąg - odparła powściągliwie. - Ona symbolizuje wszystkie te nadzieje, jakie pozostały Albanii w tym okrutnym wiecie. Zdali sobie sprawę, że gdyby prasa włoska rozgłosiła o bezpiecznym dotarciu posągu do Włoch, miałyby to ogromne psychologiczne znaczenie dla Albańczyków na całym świecie.

- A ty pojechałaś z nimi?

- To łatwy rejs, a albańska marynarka wojenna jest niezwykle słaba, więc przedostanie się na bagna nie stanowiło żadnego problemu. Odebrali my posąg w umówionym miejscu już pierwszej nocy. Nieszczęściem, odpływając następnego ranka, natknęliśmy się na łódź patrolową. Wywiłała się strzelanina i szalupa została poważnie uszkodzona. Zatonęła w małej lagunie, a my załadowaliśmy się na gumowy ponton. Polowali na nas przez większość dnia. Marco został zastrzelony pod wieczór. Nie chciałam porzucić jego ciała, ale nie mieliśmy wielkiego wyboru. Późną noc dotarliśmy do brzegu i Ramiz ukradł małe agłówki.

W ten sposób udało się nam powrócić.

- A gdzie jest teraz ten Ramiz? - zapytał Chavasse.

- Gdzieś w Matano. Wczoraj dzwonił do mnie do Rzymu i powiedział, bym spotkała się z nim w nadbrzeżnym hotelu. Bo, wiesz, udało mu się zdobyć motorówkę. Chavasse zagapił się na niego z wyrazem niedowierzania w oczach.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że masz zamiar wrócić na te cholerne bagna?

- Tak.

- Tylko we dwójkę, ty i Ramiz? - Potrzebujesz głowę. - Nie przeżyjecie ani pięciu minut.

- Byłoby to nie, ale warto spróbować.

Chciał zaprotestować, ale Francesca podniosła rękę.

- Nie mam zamiaru sp dzi reszty ycia z my l , e mój brat umarł daremnie, cho mogłam przynajmniej spróbow a zrobi co w tej sprawie. Minetti to dumna rodzina, Paul.

Troszczymy si o naszych zmarłych. Wiem, jak post pilby Marco, a teraz zostałam tylko ja jedna, by to zrobi .

Siedziała na krze le, dumna i pi kna, z twarz bardzo blad w wietle lampy.

Chavasse uj ł jej dłonie, pochylił si i lekko pocałował j w usta.

- Ta laguna, w której zaton ła szalupa... czy wiesz, gdzie to jest?

Skin ła głow , lekko marszcz c brwi.

- Dlaczego pytasz?

U miechn ł si szeroko.

- Z pewno ci nie my lała , e pozwol ci samotnie tam popłyn ?

Jej twarz wyra ała kompletne oszołomienie.

- Ale czemu, Paul? Podaj mi cho jeden dostateczny powód, aby ryzykował dla mnie ycie.

- Powiedzmy sobie, e nudz si jak mops w szufladzie po tygodniu leniuchowania na pla y, i to zamyka spraw . Masz mo e adres Ramiza?

Z torebki wyci gn ła skrawek papieru i wr czyła mu.

- My l , e to nie b dzie daleko.

Wsun ł kartk do kieszeni.

- Dobra, ruszmy si st d.

- Zobaczy si z Ramizem?

Potrz sn ł głow .

- To pó niej. Najpierw zło ymy wizyt memu dobremu przyjacielowi. To człowiek, jakiego nam potrzeba. Jest pozbawiony skrupułów, zna alba skie wybrze e jak własne pi palców i pływa najszybsz łodzi na całym Adriatyku.

W drzwiach Francesca odwróciła si i spojrzała na niego badawczo. Co zapłon ło w jej oczach, a policzki si zarumieniły. Nagle wydała si pełna zaufania, znów pewna siebie.

- Wszystko b dzie w porz dku, kochanie. To ci obiecuj .

Podniósł dło dziewczyny do ust, po czym otworzył drzwi i łagodnie wypchn ł j na korytarz.

4

Zapach krwi

Powietrze w pokoju nadal wypełniał g sty dym papierosowy, ale gracze w karty znikn li. Na stole w wietle lampy le ała mapa morska admiralicji brytyjskiej, ukazuj ca akwen Zatoki Drin na wybrze u alba skim. Pochylali si nad ni Chavasse i Orsini,

Francesca siedziała obok.

- Rzeka Buna płynie do morza z jeziora Skutari, czy te Szkoderskiego, jak je teraz nazywaj - powiedział Orsini.

- A co z tymi nadbrzeżnymi bagnami? Czy są tak paskudne, jak opowiada Francesca?

Orsini skinął głową.

- Piekierne miejsce. Labirynt w skrajnych kanałach, słonowodnych lagun i malarycznych bagnisk. Jeśli nie wiadomo, gdzie płynąć, może szukać tej szalupy przez rok i nie znaleźć.

- Czy ktokolwiek tam mieszka?

- Paru rybaków i łowców dzikiego ptactwa, głównie geghowie. Czerwonym nieźle poszło w tym rejonie. Te okolice zawsze były schronieniem dla uciekinierów.

- Znasz je dobrze?

Orsini uśmiechnął się tylko.

- W tym roku odbyłem co najmniej sześć rejsów do tych bagien. Penicylina, sulfamidy, broń, nylony. Można tam zarobić kup forsy, a albańska marynarka wojenna niewiele może zrobić, by mnie zatrzymała.

- To jednak ryzykowny interes.

- Dla amatorów wszystko jest ryzykowne. - Orsini zwrócił się do Franceski. - Ten facet, Ramiz, z czego on żyje?

- Był artysta. Zdaje mi się, że egluje głównie w weekendy.

Orsini spojrział na sufit i bezradnie podniósł rękę.

- Mój Boże, co za towarzystwo. To cud, signorina, że wróciła pani bezpiecznie do Włoch.

Otworzyły się drzwi i wszedł Carlo, niosąc na tacy kilka filiżanek. Chavasse, popijając z przyjemnością kawę, popatrzył na mapę. Przelecił wzrokiem przebieg głównego kanału, a potem zwrócił się do Franceski.

- Mówisz, że wiesz, gdzie zatoniła szalupa? Skąd możesz mieć pewno? Wszystkie te laguny wyglądają jednakowo.

- Marco wziął namiary tu przed naszym zatonięciem - powiedziała. - Zapamiętałam je.

Orsini podsunął jej kawałek papieru i ołówek, ona zaś szybko zanotowała liczby.

Przyjrzał się im lekko marszcząc brwi, a potem z niebywałym starannością obliczył pozycję.

Narysował na mapie kółko, po czym wyprostował się i uśmiechnął.

- X oznacza punkt centralny. Chavasse rzucił szybkie spojrzenie.

- Około ośmiu kilometrów w głąb lądu. Jeszcze pięć kilometrów do owej Tamy. Jak tam jest?

- Lata temu był to całkiem dobrze prosperujący mały port. Ale gdy zaczęły się

kłopoty między Albanią i krajami satelickimi, zszedł na psy. - Orsini przesunął palcem po mapie wzdłuż rzeki. - Buna stanowi cztery granice między Albanią i Jugosławią. Dopuszczono do tego, że znaczny obszar głównego nurtu został zamulony. To znaczy, że aby dostać się do Tamy, trzeba dobrze znać ujście rzeki i obszar delty.

- Ale ty potrafisz nas tam przewieźć ?

Orsini zwrócił się do Carla.

- Co o tym sądzisz?

- Dotychczas nigdy nie mieliśmy kłopotów. Czemu teraz miałoby być inaczej?

- Póty dzban wodę nosi, póki się ucho nie urwie - zauważyła cicho Francesca.

Orsini wzruszył ramionami.

- Dla każdego człowieka ostatnie spotkanie jest ze śmiercią. Ona wybiera czas, jak chce.

- A więc pozostała nam do ustalenia tylko cena - wtrącił Chavasse.

- To nie gra roli - szybko dodała Francesca.

- Signorina, proszę. - Orsini ujął jej dłoń i podniósł do swych ust. - Zrobi to, ponieważ tak chce, a nie z jakiegoś innego powodu.

Wyglądało, że dziewczyna zaraz się rozplacze, więc Chavasse szybko przerwał.

- Jedyne co mi się nie podoba, to Ramiz. Czy jesteś pewna, że głos w telefonie należał do niego?

Potwierdziła ruchem głowy.

- On pochodzi z prowincji Vlore. Maj tam bardzo wyraźny, charakterystyczny akcent. Jestem pewna, że to był on.

Chavasse doszedł do wniosku, że sprawa nie wygląda zbyt dobrze dla Ramiza.

Oczywiście było, że Sigurmi wytropiła go bez najmniejszych trudności. Byłoby możliwe, że wydobycie ciała Marca Minettiego albo, co bardziej prawdopodobne, jeszcze w Albanii zwinięto ludzi, którzy szmuglowali figurę Madonny. Każdy człowiek ma w sobie odporność na ból. Gdy przekroczy się ten punkt, wówczas przed śmiercią wybelkocze wszystko, co wie.

Oczywiście było, że Albanczyki zadadzą sobie wiele trudu, by wytropić Madonnę. Jej zniknięcie zachwiało prestiż władzy komunistycznej, która wiedząc, że pośg nadal znajduje się w kraju, z pewnością przystąpi do energicznych poszukiwań.

- Jeśli Ramiz telefonował, to prawdopodobnie dlatego, że go do tego zmuszono. Albo tak było, albo dowiedziano się, że zadzwonił. - Chavasse wyciągnął wstępek, który Francesca wrzuciła mu w hotelu. - Czy wiesz, gdzie to jest?

Orsini kiwnął głową.

- Niedaleko stąd. Nora, w której kurwy wynajmuję pokoje na godziny. Tam nie zadaje się żadnych pytań. - Zwrócił się do Franceski. - To nie miejsce dla damy.

Zaczęła protestować, ale Chavasse szybko jej przerwał.

- Giulio ma rację. Tak czy inaczej, ledwie trzymasz się na nogach. Potrzebujesz jakichś o miu godzin dobrego snu. Może skorzysta z mego pokoju w hotelu. -

Odwrócił się do Carla. - Postaraj się, by tam bezpiecznie dotarła.

Naciągnął swą marynarską kurtkę. Francesca wstała.

- Bdziesz ostrożny?

- Czy nie jest tak zawsze? - Popchnął ją lekko. - Zamknij się w pokoju na klucz i postaraj się zasnąć. Zjawi się później.

Odeszła niechętnie, Carlo poszedł za nią. Gdy Chavasse odwrócił się do Orsiniego, ten pokazał w uśmiechu wszystkie zęby.

- Ach, byłeś młodym i przystojnym.

- Ty nigdy takim nie byłeś - stwierdził Chavasse. - Ruszajmy.

Nadal padał drobny kapuś niaczek, osiadając na srebrzystych paciorkach na elaznej balustradzie portowej. Szli chodnikiem. Stare, tynkowane domy wypływały z mgły, nierealne i niematerialne, a każda latarnia uliczna była źródłem światła w ciemnym wiecie.

Hotel znajdował się pięć minut drogi od Tabu. Był to podniszczony budynek; koło otwartych drzwi wejściowych opadał tynk. Weszli do ciemnego i ponurego holu. Nikt nie siedział za drewnianym kontuarem i nie było żadnej odpowiedzi na niecierpliwy dzwonek Orsiniego.

- Czy podała ci numer pokoju?

Chavasse skinął głową.

- Dwudziesty szósty.

Włoch wszedł za kontuar i spojrzął na tablicę. Wrócił potroszonym głową.

- Nie ma tu klucza. Musi nadal być w pokoju.

Weszli po chwiejnych, drewnianych schodach na pierwsze piętro. W powietrzu unosił się nieprzyjemny, słaby zapach zmieszanych odorów kuchennych i zastarzałej uryny. Panowała dziwna, ponura cisza. Szli korytarzem, odczytując numery na drzwiach. Do uszu Chavasse'a doleciała muzyka i wysoki, piskliwy śmiech. Zatrzymali się przed drzwiami, zza których dochodziły odgłosy, a Orsini odwrócił się do przeciwnych.

- To tutaj.

Przy pierwszym dotknięciu drzwi się otworzyły. Wszedł do korytarza i próbował znaleźć źródło światła. Nic z tego. Zapalił więc zapalniczkę. Chavasse wszedł za nim.

Pokój był prawie pusty. Na podłodze leżała mata z rogów, na niej stało elazne łóżko i umywalka. Obok leżało przewrócone krzesło.

Gdy Chavasse schylił się, by je podnieść, zapalniczka sparzyła Orsiniego w palec. Zaklął i rzucił ją gwałtownie. Chavasse przyklękł, czekając, aż zapali następną, i nagle poczuł, że przez materiał spodni na kolanie przesika wilgoć. Kiedy następną zapalniczkę zabyła, podniósł dłoń, której palec był lepki od na wpół skrzepłej krwi.

- To by było na tyle z Ramizem.

Szybko zbadali pokój, ale nie znaleźli niczego, nawet walizki, więc wrócili na korytarz. Z przeciwka rozległ się piskliwy śmiech. Orsini spojrzał pytająco.

- Nie mamy nic do stracenia - stwierdził Chavasse. Wielki Włoch zapukał do

drzwi.

Zapanowała nagle cisza, a potem kobiecy głos zawołał:

- Przyjdź pó niej. Jestem tutaj.

Orsini zapukał jeszcze mocniej. Wewnątrz rozległ się szybki, pełen niezadowolenia ruch i drzwi otworzono szarpnięciem. Stała w nich mała, tusta kobieta o płomiennie rudych włosach. Czarny nylonowy szlafroczek nie skrywał jej obfitych wdechów. Widać było, że natychmiast rozpoznała Orsiniego i jej rozszłoszczony min zastąpił przymilny uśmiech.

- Ech, Guilio, długo ci nie widziałam.

- Zbyt długo, cara - odparł i poklepał ją po twarzy. - Nadal wyglądasz tak ładnie jak zawsze. Mój przyjaciel i ja chcieliśmy zamienić słówko z człowiekiem z naprzeciwka, ale wyglądasz, że nie ma go w domu.

- O, z tamtym - odrzekła z wyraźnym obrzydzeniem. - Wysiadywał bez przerwy w pokoju. Nawet nie chciał pozwolić, by zabawiła się z nim dziewczyna.

- Musiał być lepszy - orzekł rycersko Orsini.

- Dzisiaj szukało go dwóch mężczyzn - powiedziała. - Myślałam, że były tam jakieś kłopoty. Gdy wyjrzałam, prowadzili go mi dźwierzochy. Niezbyt dobrze wyglądał.

- Nie przyszło ci na myśl, by wezwać policję? - spytał Chavasse.

- Gdyby ten skurwiel się ant wisiał, nie odciąłbym sznura. - Z wnętrza pokoju doleciało pełne złości wołanie. Uśmiechnęła się. - Niektórzy z nich robią się naprawdę bardzo niecierpliwi.

- Mogłoby to założyć - stwierdził Chavasse.

Uśmiechnęła się.

- Ty mi się zdecydowanie podobasz. Przyprowadź go tu kiedy, Guilio. Zrobimy sobie przyjęcie.

Z pokoju dobiegł następny zniecierpliwiony krzyk, więc tylko uniosła bezradnie brwi i zamknęła drzwi.

Orsini i Chavasse wrócili na dół, a potem wyszli na ulicę. Włoch zatrzymał się, by zapalić cygaro i cisnął zapalniczką w ciemność.

- Co teraz?

Chavasse wzruszył ramionami.

- Prawda mówi ci, niewiele możemy zrobić. Wiem tylko jedno: przydałoby mi się trochę snu.

Orsini kiwnął głową.

- Wracaj do hotelu. Zostań z dziewczynami i bądź grzeczny. Rano coś wykombinujemy.

- Stuknął Chavasse'a lekko w ramię. - Nie martw się, Paul. Jesteś wśród fachowców.

Odwrócił się i zniknął we mgle. Patrząc za nim, Chavasse poczuł, jak ogarnia go ogromna fala zmęczenia. Poszedł chodnikiem, a jego kroki odbijały się echem od ścian.

w skiej uliczki. Zatrzymał się na rogu, grzebiąc w kieszeni w poszukiwaniu papierosów.

Gdy zabłysła zapalka, co ostrego jak igła przebiło mu kurtkę i dotknęło kręgosłupa.

Odezwał się spokojny głos:

- Proszę stać zupełnie nieruchomo, panie Chavasse.

Czekał, a do wiadczonych dłoni przesunął się po jego ciele, poszukując broni, której nie miał przy sobie.

- Teraz proszę iść prosto przed siebie i nie odwracać się. Zabicie pana sprawiłoby mi wielki przykrość.

Dopiero gdy ruszył z miejsca, dotarło do niego coś, co uderzyło go z siłą fizycznego ciosu. Głos przemawiał po albańsku.

5

Człowiek z Alb-Touristu

Było ich dwóch, tyle mógł powiedzieć na podstawie i dźwięku ich kroków odbijających się od ścian w skrajnych zaułkach, gdy posuwali się przez starą dzielnicę miasta.

Szorstki głos człowieka, który odezwał się pierwszy, od czasu do czasu przerywał ciszę, polecając mu skręcić w prawo lub w lewo. Poza tym nie prowadzono żadnej rozmowy, a ludzie ci trzymali się daleko od Chavasse'a.

Piętnaście minut później wynurzyli się z zaułka nad brzeg morza, po przeciwnej stronie portu. Wznosił się tu stary kilkupiętrowy dom, obok niego zaś kamienne schody prowadziły do przystani.

Stała tam przycumowana stara łódź patrolowa, zniszczona i zaniedbana, z farbuluszczącymi na kadłubie. Na jej rufie widniał zblakły napis: Stromboli - Taroanto.

W wietle samotnej lampy przystała bezludna, nie było nikogo, kto mógłby mu pomóc. Odwrócił się powoli twarzą do dwóch mężczyzn. Jeden był niski i niczym się nie wyróżniał. Miał na sobie grubą kurtkę i naciągany na oczy, robiony na drutach czapkę.

Drugi był zupełnie inny: wielki chłop o groźnym wyglądzie, od dawna niegolony.

Miał brutalną, pokrytą bliznami twarz, włosy krótko przystryżone, a na sobie kurtkę marynarską i rybackie buty.

Wsunął papierosa do ust i potarł zapalniczkę o falochron.

- Na dół, panie Chavasse. Teraz na dół.

Chavasse powoli zszedł po schodach. Gdy dotarł do nabrzeża, niżej mężczyzna przesunął się obok niego i poprowadził w stronę domu. Otworzył drzwi. W półmroku

wida było kamienne schody wiodące do góry. Chavasse poszedł za nim, za parę kroków z tyłu towarzyszył im drugi mężczyzna.

Dotarli do kamiennego podestu półpiętra. Prowadzący otworzył kolejne drzwi i zrobił ruch głową. Chavasse wyminął go i wszedł do pokoju. Pokój był skromnie umeblowany: drewniany stół i parę krzeseł. Pod ścianą stało wieszak z płaszczami.

Człowiek, który siedział przy stole i pisał list, był niewysoki, ciemnowłosy i odziany w nieskazitelną garnitur z niebieskiego tropiku. Miał cerę barwy gładko wyprawionej naturalnej skóry; widać, że chociaż bródka nadawała mu wygląd konkwistadora.

Chavasse zatrzymał się z rękami w kieszeniach o parę kroków przed nim. Małe, czarne, błyszczące oczka zwróciły się w jego stronę. Mężczyzna lekko zmienił pozycję i uśmiechnął się czarująco.

- Pan Chavasse... to wielka przyjemność, sir.

Język angielski był wyraźny i precyzyjny, niemal bez śladu obcego akcentu. Chavasse zdecydował, że nie lubi tego człowieka. Miał zimne i bezlitosne oczy pomimo ich uprzejmego, ptasiego wyrazu, oczy mordercy.

- To wszystko zaczyna mnie dosyć nudzić - powiedział Chavasse.

Człowiek przy stole uśmiechnął się.

- Wobec tego musimy się postarać, by sprawy wyglądały bardziej interesująco. Jak by się panu podobała możliwość zarobienia dziesięciu tysięcy funtów?

Na drugim końcu stołu stała taca z kilkoma butelkami i wielką liczbą kieliszków.

Chavasse podszedł do niej spokojnie, wyczuwając równocześnie nielekkie ruchy wielkoluda, stojącego przy drzwiach.

W jednej z butelek znajdowała się jego ulubiona wódka, Smirnoff. Nalał sobie pół szklanki i niedbałym krokiem podszedł do okna. Popijając, spoglądał w dół, gdzie o dwadzieścia metrów niżej znajdował się port. Próbował ocenić odległość do miejsca, gdzie z lewej strony była przycumowana Stromboli, przez wiatry nie przez mgłę.

- No wiec? - zapytał niewysoki.

Chavasse odwrócił się.

- Co nowego w Tiranie?

Zapytany uśmiechnął się.

- Bardzo bystra uwaga, ale nie byłem w Tiranie od pięciu lat. Drobną różnicą zdania z obecnym reżimem. - Wyciągnął biały kartonik i rzucił go przez stół. - Moja wizytówka, sir.

Jestem Adem Kapo, przedstawiciel Alb-Touristu w Taranie to.

- Między innymi, zapewne.

Kapo wyciągnął papierosa i wydobyl z niego papierosa, którego włożył do cygarniczki.

- Mo e mnie pan uzna za swego rodzaju po rednika. Ludzie przychodz do mnie, podaj swoje potrzeby, a ja staram si je zaspokaja .

- Odplacnie?

- Ale oczywi cie. - Podsun ł papiero nic . - Papierosa?

Chavasse pocz stował si .

- Dziesi ty si cy funtów. To masa pieni dzy. Dlaczego s dzi pan, e mo e to mnie zainteresowa ?

- Moje interesy wymagaj , mi dzy innymi, abym du o wiedział o ludziach, a o panu, przyjacielu, wiem bardzo wiele. Wi cej, ni potrafi pan sobie wyobrazi . Ludzie tacy jak pan to zabójcy do wynaj cia przez najwi cej oferuj cego. Zreszt te pieni dze łatwo b dzie zarobi . Moi przelo eni zaplac tak kwot z góry, je li zgodzi si pan zaprowadzi na miejsce, gdzie znajduje si pewna szalupa, która niedawno zatona w bagnach rzeki Buna w północnej Albanii. Jest pan zainteresowany?

- Mógłbym by , gdybym wiedział, o czym pan mówi.

- Pewien jestem, e signorina Minetti ju przekazała panu szczegóły. Daj e pan spokój, panie Chavasse, wszystko si wydało, jak mawiaj w angielskich melodramatach.

Zgodnie z informacjami przekazanymi mi przez moich klientów, ciało obywatela włoskiego, niejakiego Marca Minettiego, zostało znalezione w ławicy mułu u uj cia Buny wkrótce potem, jak próbowano przemyci za granic bezcenny zabytek religijny.

- Co podobnego - powiedział Chavasse.

Kapo zignorował uwag .

- Kilka godzin wcz niej jego szalupa znikn ła w ród pustkowia bagien Buny. Pó niej ludzie Sigurmi zatrzymali ksi dza i dwóch innych ludzi w mie cie Tama. Wygl da na to, e ksi dz był uparty do ko ca, bo tacy ju s duchowni, ale dwaj m czy ni mówili. Wymienili Minettiego, jego siostr oraz artyst nazwiskiem Ramiz. Zaofiarowano mi, musz przyzna , bardzo poka ne honorarium za ich wytropienie.

- I dokonał pan tego?

- Ramiza obserwowali my przez całe tygodnie, czekaj c, a wykona posuni cie. Cho to mo e wydawa si niewiarygodne, miał zamiar znów tam wróci . Widzi pan, to był intelektualista, jeden z tych nader irytuj cych ludzi, którzy uwa aj , e maj w yciu misj do spełnienia.

- Mówi pan o nim w czasie przeszłym?

- Tak, to doprawdy bardzo smutne. - Kapo powiedział takim tonem, jakby był rzeczywi cie wzruszony. - Dzi wieczorem postanowiłem odby z Ramizem rozmówk . Gdy Haji i Tashko prowadzili go tutaj, wywi zało si co w rodzaju walki. Spadł z falochronu i złamał sobie kark.

- Po prostu nieszcz liwy wypadek, jak przypuszczam?

- Ale oczywi cie, i zupełnie niepotrzebny. To zdumiewaj ce, jak czyje motywy mog zosta ł dnie zrozumiane. Obawiam si , e wcz niejsza próba skontaktowania

si z signorina Minetti te spotkała si z wyra nym brakiem powodzenia.

- Tak wi c zostałem panu tylko ja.

- Trudno si dziwi , je li kto uzna za co wi cej ni zbieg okoliczno ci fakt, e pan Paul Chiavasse z brytyjskiej Secret Service wła nie był w pobl u, gdy signorina Minetti potrzebowała pewnej pomocy.

Chiavasse si gn ł po butelk z wódk i dolał sobie do szklanki.

- A je li bym powiedział, e nadal nie wiem, o czym pan mówi?

- Gdyby pan si upierał, nie miałbym innego wyboru. Musiałbym ponownie zwróci si do signoriny, co bardzo by mnie zasmuciło. - Kapo westchn ł. - Z drugiej znów strony, z kobietami o ile łatwiej si porozumie . Nieprawda , Tashko?

Wielkolud zbli ył si do stołu z pozbawionym wesoło ci u miechem na twarzy, a Chavasse skin ł głow w zadumie.

- Spodziewałem si , e pan to powie.

Odwrócił chwyt na butelce z wódk i uderzył z boku w czaszk Tashka. Alba czyk wrzasn ł gło no, gdy butelka rozleciała si w drobny mak, zalewaj c go krwi , Chavasse za przewrócił stół, przygniataj c Kapa wraz z krzesłem do podłogi.

Haji rzucił si przez pokój z no em w prawej dłoni. Chavasse odparował cios jedn r k , złapał napastnika za lewy nadgarstek i nagłym szarpni ciem cism ł go z trzaskiem o cian .

Tashko znów stał na nogach, z krwi płyn c po twarzy. Wzi ł pot ny zamach pi ci , ale Chavasse dał nura pod jego ramieniem i rzucił si do drzwi. Po drodze potkn ł si o nog Kapa i padł ci ko na podłog .

Tashko w mgnieniu oka znalazł si przy nim, kopi c go w ebra i w twarz. Chavasse przeturlał si dalej, unikaj c wi kszo ci ciosów i wstał na nogi. Przeskoczył nad przewróconym stołem, złapał obur cz jedno z krzesel i z całej siły cism ł nim w okno.

Spróchniałe drewno ramy rozleciało si , a szyba zmieniła si w gradow burz szkła.

Doleciał do niego ostrzegawczy krzyk Kapa, zauwa ył skacz cego naprzód Tashka.

Machn ł r k w bok, trafiaj c kantem dłoni w twarz wielkoluda, po czym wdrapał si na parapet i skoczył w ciemno .

Powietrze zahuczało mu w uszach, a mgła owin ła si wokół niego. Potem uderzył w wod z mocnym, twardym pluskiem i zanurzył si w nocy bez ko ca.

Gdy wreszcie wychyn ł na powierzchni , podnosz c głow , ujrział ciemn brył domu i s cz ce si wiatło z rozwalonego okna. Z góry doleciał go głos Kapa, któremu odpowiedział drugi ze Stromboli, niejasno prze wituj cej przez mgł .

W takiej sytuacji było tylko jedno rozs dne wyj cie i Chavasse je wybrał. Zawrócił i popłyn ł w gł b portu, w kierunku mola po przeciwnej stronie. Wiedział, e jest odległe o jakie pół kilometra. aden dystans, a woda była zaskakuj co ciepła.

Nie pieszyl si . Plyn l równym tempem, głosy za nim stopniowo cichly we mgle i byl ju sam, w małym, ograniczonym wiecie. Wszystko zdawalo si stopniowo zanika , on za czul si dziwnie spokojny i pogodzony z sob . Upływ czasu jakby stracil znaczenie; wiatla kotwiczne lodzi rybackich, stoj cych blisko mola pojawily si zaskakuj co szybko.

Przeplyn l w rod nich i wyl dowal na schodach, prowadz cych na molo. Przez par chwil siedzial tam, chwytaj c oddech, a potem szybko wszedl na gór i przedostal si na nadbrze e.

Tym, czego naprawd potrzebował, byla szybka zmiana ubrania, po pieszyl wi c do hotelu. Nast pnie czekala go wizyta u Orsiniego w Tabu i by mo e mecz rewan owy z Ademem Kapem i jego zbirami, cho bylo bardziej ni prawdopodobne, e Stromboli ju gotowala si do szybkiego wyj cia w morze.

Z mroku nocy wylonil si wietlny szyld nad wej ciem do hotelu. Chavasse otworzyl drzwi i wszedl do rodka. Kontuar byl opuszczony, wida nikt nie pelnil sltu by, wi c poszedl na gór , bior c po dwa stopnie naraz i skr cil w korytarz.

Drzwi do jego pokoju byly wybite, za wewn trz palilo si wiatlo. Na rodku podlogi le alo przewroczone krzeslo, po ciel byla zepchni ta na koniec ló ka, jak gdyby rozegrala si tutaj walka. Stal przez chwil , czuj c nagl pustk w ol dku, a potem odwrócił si i zbiegl na dol.

Kieruj c si do wyj cia, dostrzegl wystaj c zza kontuaru stop i uslyszal stlumiony j k. Gdy przechylil si nad blatem, ujrzal starego wla ciciela hotelu le cego twarz do ziemi, z bialymi wlosami na tyle glowy zlepionymi krwi .

6

Kobieta w niebezpiecze stwie

Gdy Chavasse, Orsini i Carlo nadjechali starym pick-upem, nabrze e bylo puste.

Wloch zgasil silnik, wyskoczyl na ziemi i podszedl do szczytu schodow.

Odwrócił si , potrz saj c glow .

- Tracimy tylko czas, Paul, ale na wszelki wypadek zbadamy ten dom.

Zeszli schodami i id c nabrze em dotarli do drzwi. Otwarly si z latwo ci i Chavasse wszedl na gór pierwszy, trzymaj c starego colta, ktorego dal mu Orsini, przy prawym kolanie.

Drzwi do pokoju, w ktorym przesluchiwal go Kapo, byly uchylone, na ciemny podest schodow padalo wiatlo. Chavasse otworzyl je kopni ciem i zacz l nasluchiwa , ale nie bylo adnej odpowiedzi. Wskoczyl do rodka nisko pochylony, trzymaj c pistolet gotowy do strzalu.

Wodka z rozbitej butelki zmieszana z krwi wsi kla ju w podlog , stol nadal le al na boku. Przez wybite okno ws czala si mgla. Orsini podszedl do niego,

rozgarniaj c butami resztki szkła, i wyjrzał na zewn trz.

Gdy si odwrócił, miał min pełn szacunku.

- Daleka droga na dół.

- Nie miałem wielkiego wyboru. Co robimy teraz?

Włoch wzruszył ramionami.

- Wracamy do Tabu. Mo e stary Gilberto teraz ju sobie co przypomina.

- Na to bym nie liczył - o wiadczył Chavasse. - Solidnie oberwał.

- Wi c b dziemy musieli pomy le o czym innym.

Wrócili do pick-upa, stłoczyli si w ciasnej kabinie i Carlo przez bezludne ulice pojechał z powrotem do Tabu. Gdy wóz zatrzymał si , Chavasse spojrział na zegarek i stwierdził, e jest ju prawie wpół do trzeciej. Zeskoczył na ziemi i w ład za dwoma Włochami poszedł zaułkiem do bocznego wej cia.

W barze od frontu ci gle jeszcze znajdowało si paru go ci. Kiedy przechodzili korytarzem, zza rogu wyjrzał barman.

- Rzym na linii. Nie odkładaj słuchawki.

- To b dzie mój zamówiony telefon do S2 - powiedział Chavasse do Orsiniego. -

Ciekawe, co maj do powiedzenia na temat Kapa.

- A ja jeszcze pogadam ze starym Gilbertem - odrzekł Orsini. - Teraz pewnie ju zebrał my li.

Chavasse odebrał telefon w małym biurze na tyłach baru. Człowiek, z którym rozmawiał, był oficerem pełni cym nocn słu b , nikt szczególnie wa ny. Po prostu godny zaufania urz dnik, który wiedział, do czego słu teczki z aktami i jak z nich sprawnie korzysta .

Na temat Kapa nie miał nic wi cej ni to, co Chavasse ju wiedział. Cho wydawało si niewiarygodne, wszystko co ten człowiek powiedział o sobie, było zgodne z prawd .

Swego czasu był wysokim urz dnikiem w alba skim Ministerstwie Spraw Wewn trznych, został usuni ty ze stanowiska podczas jednej z wcze niejszych czystek, zarz dzonych przez Hod w 1958 roku. Pozwolono mu przyby do Włoch jako uchod cy politycznemu i od tej pory mieszkał w Taranto, zarabiaj c jako po rednik przy imporcie i eksporcie.

Prawdopodobnie na podstawie zało enia, e jakkolwiek Alba czyk lepszy jest od cudzoziemca, w 1963 roku Alb-Tourist mianowało go swym przedstawicielem. Formalne dochodzenie, przeprowadzone w tym samym roku przez włoski wywiad wojskowy, nie ujawniło w tej nominacji niczego podejrzanego.

Chavasse podzi kował oficerowi dy urnemu. Nie, to nie była adna istotna sprawa. Po prostu podczas urlopu w Matano natkn ł si na Kapa i pomy lał, e warto go sprawdzi .

Na drugim ko cu przewodu telefonicznego, w małym biurze w Rzymie, oficer dy urny odło ył słuchawk i zamy lił si chwil . Prawie natychmiast podniósł j

znowu i lini specjaln zadzwonił do centrali biura w Londynie.

To wszystko mogło nie mieć żadnego znaczenia, ale Chavasse był jednym z ich czołowych ludzi; wszyscy w organizacji o tym wiedzieli. Jeśli istniała nawet niewielka szansa, że coś zwróciło jego uwagę i szef nie zostanie o tym zawiadomiony, głowy mogą polecieć. A oficer dyżurny nie miał najmniejszej ochoty, by wśród nich znajdowała się również jego.

Pięć minut później telefon na jego biurku ostro zabrzmiał. Natychmiast podniósł słuchawkę.

- Halo, sir... Tak, zgadza się... No cóż, to może niczego nie oznacza, ale pomysł mam, że będzie pan wolał wiedzieć... Właśnie nie miałem nader interesujący telefon od Paula Chavasse'a z Matano...

Gdy brandy spłynęła mu w głębię gardła, stary Gilberto zakaszłał i krzywo uśmiechnął się do Orsiniego.

- Chyba się starzej, Giulio. Ni cholery nie usłyszałem. Nie upłynęło nawet dwadzieścia minut od chwili, gdy Carlo dostarczył tutaj tę młodą kobietę. W jednym momencie czytałem ilustrowany magazyn, w następnym wszystkie światła zgasły. - Podniósł zdeformowany i pokryty bliznami dłoń. - Może i jestem stary, ale ci głębiej jeszcze chciałbym pięć minut sam na sam z tym sprytnym skurwielem, bez względu na to, kim jest.

Orsini uśmiechnął się szeroko i poklepał właśnie cicię hotelu po ramieniu.

- Zabilby go, Gilberto. Nic lepszego niż odrobina do wiadzenia, by zmusić tych pocztujących twardełków do pobiegania sobie w kółeczko.

Wyszli na korytarz, zostawiając starego siedzącego przy ogniu z kocem na ramionach.

- Swego czasu był z niego dobry zawodnik wagi ciężkiej - powiedział Orsini. - Jeden z tych, co mieli do rozumu, by się wycofać, nim zrobił im błotko z mózgu. Jakże wiadomo ci z Rzymu?

Chavasse potrząsnął głową.

- Wszystko, co Kapo powiedział o sobie, okazało się prawdą. Rzeczywiście jest przedstawicielem Alb-Touristu w Taranto, starym członkiem partii z Tirany, który o jeden raz za dużo powiedział nie to, co trzeba i ledwie zdołał wydostać się stamtąd. Zdaniem wywiadu włoskiego jest nieszkodliwy, a oni zwykle wiedzą, co mówi.

- To samo powiedziało MI 5 o Fuchsie i popatrz, gdzie ich to doprowadziło - wytknął Orsini. - Nikt nie jest doskonały, a dobry agent to człowiek, który najskuteczniej potrafi zamydlić oczy przeciwnikowi.

- Co nas do niczego nie prowadzi - owiadczył Chavasse. - Zniknij, zabierając z sobą Francese Minetti, i tylko to się liczy.

Weszli do biura na tyłach baru. Orsini wyciągnął butelkę whisky i trzy szklanki.

Napełnił je z zamysłonym min.

- Bez względu na to, kto zabrał dziewczynę, nie mógł to być Kapo i jego ludzie;

nie zdążyliby. A te typy, które wczepiły się na nabrzeże u... Co możesz o nich powiedzieć?

- Słyszysz z języka, jakim się posługiwał, gdy próbował mnie dźgnąć? No, powiedziałbym, że jeden z nich to Włoch - rzekł Chavasse. - Prosto z rymusztoka w Taranto.

- Zauważyłeś jeszcze coś charakterystycznego?

- Miał nieprzystrzyżony ciemny brodź i paskudną bliznę na twarzy. Zakrzywioną, sięgającą lewego oka.

Orsini ryknął potężnym miechem i klepnął Chavasse'a po ramieniu.

- Mój drogi, ale to wspaniałe!

- Chcesz powiedzieć, że go znasz?

- Czy go znam? - Orsini zwrócił się do Carla. - Opowiedz mi o naszym dobrym przyjacielu Toto.

- Pracuje dla człowieka nazwiskiem Vacelli - powiedział Carlo. - Naprawdę paskudnego typu. Ma tu parę łodzi rybackich, obie używane do handlu z Albani, prócz tego burdel w mieście i kawiarnia w starej dzielnicy. - Splunął energicznie. - Zwykła winia.

- Wygląda, że Kapo musiał zaangażować Vacellego, by dla niego schwycił dziewczynę - orzekł Orsini. - Do takiej roboty natura znakomicie go wyposażała. Niestety zjawiła się na miejscu i zepsuła wszystko.

- To jednak nie tłumaczy, czemu Kapo zadał sobie trud sprowadzenia mnie na osobistą rozmowę.

- Prawdopodobnie myślał, że może zawrzeć z tobą jakąś umowę. Kiedy dałę nogę, musiał zmyślać się po piesznicy na wypadek, gdyby zdecydował się donieść na niego policji.

Nie miał innego wyboru.

- Tymczasem Vacelli i jego chłopcy złapali dziewczynę?

Orsini skinął głową.

- A Kapo musiał odjechać, nim mogli się z nim skontaktować.

- Mylisz się, że Vacelli nadal ma dziewczynę?

Orsini otworzył szufladę biurka, wyciągnął parabellum i wsunął je do tylnej kieszeni spodni. Uśmiechnął się i w tym momencie jego wielka, brzydka twarz zupełnie się zmieniła.

- Ruszajmy, a dowiemy się.

Knajpa Vacellego stała frontem do portu, na rogu uliczki, prowadzącej do serca starej dzielnicy. Na szyldzie napisano po prostu Cafe. Wewnątrz ktoś grał na gitarze. Zaparkowali pick-upa przy wejściu, po czym weszli do rodka. Orsini poprowadził ich schodami na dół.

Z baru znajdując się w głębi dołatywał szmer głosów. Gitarzysta siedział w samym wejściu, na krześle odchylonym i opartym o ścianę. Był młody, miał ciemne,

krcone włosy, a zawinięte rękawy koszuli w kratkę ukazywały muskularne ramiona.

Orsini odsunął zasłonę i spojrzał na nogi, wyciągnął je w poprzek wejścia. Gitarzysta nie zmienił pozycji, więc Orsini wyszarpnął spod niego krzesło. Nagły brzyk spowodował, że w pomieszczeniu zapanowała pełna oszołomienia cisza.

Był tam wiski bar z marmurowym blatem, na ścianie za nim stały szeregiem butelki.

Prócz tego znajdowało się tam paromałych stolików z przystawionymi do nich krzesłami.

Podłoga była kamienna, ściany pobielone wapnem; w pomieszczeniu przebywało kilkanaście osób, większość stanowili mężczyźni.

Gitarzysta podniósł się natychmiast, trzymając nóż sprężynowy w dłoni, ale Carlo był szybszy. Chwycił rękę napastnika i wykręcił ją tak mocno, że młody człowiek wrzasnął, upuszczając nóż. Chwiejnie oparł się o ścianę ze łzami bólu w oczach, a Orsini potrząsnął głową.

- Bój jeden wie, co się stało z młodzieżą w tym kraju. Zupełny brak manier. - Odwrócił się, obrzucając go niedbałym spojrzeniem. Brodacz z bliznowatą twarzą, ten, którego zwano Toto, siedział przy stole pod ścianą z jedną ręką na temblaku. Orsini uśmiechnął się szeroko.

- Ech, Toto, nie wyglądasz zbyt dobrze. Gdzie jest Vacelli?

Rozległo się szuranie butów po kamieniu i usłyszeli gburowate warknięcia.

- Czego u diabła chcesz?

Vacelli stał u szczytu kamiennych schodów wiodących na pierwsze piętro. Był zbudowany jak Primo Carnera - chłop potężny jak byk, z okrągłą głową, zbyt mały w stosunku do reszty ciała.

- Hej, e, zwierzaku - zawołał wesoło Orsini. - Przyszli my po tę dziewczynę Minetti.

Brutalna twarz Vacellego poczerwieniała ze złości; widać było, że z trudem panuje nad sobą.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Co za szkoda. - Orsini wziął do ręki najbliższe krzesło i rzucił nim w półki za barem, roztrzaskując lustro i zwałając z tuzin butelek. - Czy to ci pomoże?

Vacelli wydał ryk w ciekną ci i zbiegł ze schodów. Orsini z najbliższego stołu podniósł pełną butelkę chianti, odskoczył na bok i rozwalił ją na czaszce przebiegającej obok Vacellego, który padł na jedno kolano. Włoch podniósł następnie krzesło i walnął nim w jego szerokie ramiona. Zaatakowany chrząknął i zaczął się przechylać. Orsini bił krzesłem raz za razem, póki nie rozpadło się w drzazgi. Odrzucił resztki na bok i czekał.

Powoli, z wysiłkiem Vacelli sięgnął brzegu baru i zaczął się podciągać. Chwiał się tam przez moment, a potem zaszarował z pochyloną głową; krew spływała mu po twarzy jak czerwona zasłona. Orsini zrobił unik i kantem dłoni rąbnął przelatującą cego

obok napastnika w nerki.

Vacelli wrzasnął i padł na twarz. Próbował podnieść się, wspierając na rękach i linię jak zwierzę, ale nic z tego nie wyszło. Padł z wielkim westchnieniem i leżał nieruchomo.

- S jeszcze chłoni? - zapytał Orsini.

Nikt się nie ruszył, więc Orsini zwrócił się do Carla:

- Popilnuj tu na dole. Wrócimy niebawem. Chavasse poszedł za nim po schodach; na górze Włoch odsunął na bok kotarę i poprowadził w swoim korytarzem. W drzwiach pokoju stała młoda kobieta w tanim, nylonowym szlafrocisku i paliła papierosa.

- No i co, Giulio, zabiła skurwysyna?

- Prawie nie. - Umiechnął się. - Przez dłuższą chwilę była nieczynny. Do czasu, by spać w manatki i wyniosła się. Tej nocy przyprowadzono tu dziewczynę. Gdzie ona jest?

- W ostatnim pokoju. Właśnie tam wchodził, gdy się pojawili. Nie sądzę, by miał dobre zamiary.

- Wielkie dzięki, carissima. - Orsini pocałował ją lekko w policzek. - Wracaj do matki.

Chavasse już go wyprzedził, ale drzwi były zamknięte na klucz.

- Francesca, tu Paul - zawołał.

W środku ktoś poruszył się szybko i Francesca zawołała:

- Drzwi są zamknięte od zewnątrz.

Orsini cofnął się, uniósł nogi i dwukrotnie kopnął zamek. Rozległ się nagły trzask, drzwi zwisały na zawiasach, spróchniałe drewno rozpadło się. Kopnął raz jeszcze i drzwi oparły się o ścianę.

Francesca Minetti stała czekając, z twarzą bladą jak kreda. Nadal miała na sobie stary sweter Chavasse'a i wyglądała, jakby jej przybyło piętnaście lat. Orsini z sykiem wciągnął powietrze przez zęby, a potem zrobił szybki krok do przodu.

Jego głos brzmiał dziwnie łagodnie i pocieszająco, jak ojca uspokajającego przerażone dziecko.

- Już wszystko w porządku, cara. Już nie ma się o co martwić.

Wyciągnęła rękę i podniosła głowę; patrzyła w brzydko, zniszczoną twarz, próbowała się uśmiechnąć, a potem zaczęła drężyć. Odwróciła się, chwiejnie przebiegła przez szczeliny drzwi i rzuciła się w ramiona Chavasse'a.

7

Nocny rejs

Było parę minut po ósmej następnego wieczoru, gdy Buona Esperanza odcumowała od nabrzeża i wyszła w morze. Noc była ciepła, łagodna, woda

połyskiwała zimnym wiatrem. Nie było widać księżyca, bo na horyzoncie zaległy ciemne chmury, jakby na otwartym morzu zbierał się sztorm.

Przy sterze stał Orsini, obok niego zaś Chavasse, który pochylony do przodu próbował coś dostrzec w ciemności przez wypukłe szkło okna sterówki.

- Co z pogodą? - zapytał.
- Siła wiatru cztery, deszcz nadciągający. Nic, czym trzeba by się martwić.
- W Zatoce Drin jest tak samo?
- Paraliż mgły, ale to raczej pomoc niż przeszkoda.

Chavasse zapalił dwa papierosy i dał jeden Włochowi.

- Zabawne, jak toczy się życie zawodowe. Nigdy nie sądzilem, że kiedykolwiek jeszcze postawię nogę na albańskiej ziemi.

- Czego my nie robimy dla państwa - uśmiechnął się Orsini - Ale ta, to coś specjalnego.

Zapewniam cię, Paul, jako ekspert. Bardzo mi przypomina moją żonę, niech spoczywa w spokoju.

Chavasse popatrzył na niego z ciekawością.

- Nie wiedziałem, że była żoną.
- Dawno temu. - Twarz Orsiniego była spokojna, niezmiernie, ale w głosie brzmiał smutek. - Miała tylko dziewięć lat, gdy my się pobrali. To było w roku 1941, podczas mojej służby w marynarce wojennej. Spędziliśmy razem jeden urlop i to wszystko.

Następnego roku zginęła podczas nalotu, gdy była u swej matki w Mediolanie.

Nie było nic do powiedzenia, więc Chavasse stał w milczeniu. Po chwili Orsini zwiłszy szybko.

- Przejmij ster, Paul. Wykreśl kurs.

Chavasse wsunął się na jego miejsce, a Orsini przeszedł do stolika z mapami. Przez pewien czas przyglądał się im uważnie, wreszcie kiwnął głową z zadowoleniem.

- Wpłyniemy na bagna tu przed witem. - Zapalił cygaro i uśmiechnął się. - Reszta jest w rękach Boga.

- Czy chcesz, bym ci na pewien czas zastąpił? - spytał Chavasse.

Orsini potrząsnął głową i przejął ster.

- Pójdź, Paul, po wachcie Carla. W ten sposób będzie wypoczął rano, gdy będziemy wpływać na bagna.

Chavasse zostawił go przy sterze i zszedł do kambuza, gdzie Francesca parzyła właśnie kawę. Oparł się o framug drzwi i rzekł:

- To właśnie lubię u włoskich dziewczyn. Są tak dobre w kuchni.

Odwróciła się i uśmiechnęła złośliwie.

- Czy tylko w tym jesteście my dobre? W gotowaniu?

Miała na sobie stare drelichowe spodnie oraz gruby sweter, a długie włosy spletała w jeden warkocz, który przerzuciła przez ramię. Wyglądała niewiarygodnie

wprost wie o.

Chavasse potrzebował głowę .

- Mógłbym jeszcze pomyśleć o tym i owym, ale czas nie sprzyja.

- A co z tarasem w ambasadzie brytyjskiej?

- Zbyt ogólnie dostępnym.

Podawała mu kubek kawy.

- Znam takie miejsce w górach pod Rzymem. To tylko wiejska karczma, ale kuchnię mają nie z tej ziemi. Jada się tam na tarasie z widokiem na zbocze pokryte winnicami.

Robaczki wiotkie tańczą na wietrze, a zapach kwiatów czuje się jeszcze przez cały następny tydzień. Do wiadomości, którego nie może na sobie odmówić .

- Będzie bardzo zajęty przez kilka następnych dni - zauważył Chavasse - ale póki nie wiążesz wieczorów mam wolną .

- Dziwnym trafem ja też . Moje nazwisko także jest w księgce telefonicznej, a chciałabym podkreślić, że nadal winien mi jesteś randkę .

- Jak mógłbym zapomnieć o czym takim?

Zrobił unik, gdy rzuciła mu w głowę suchą skorupkę od chleba, odwrócił się i przez kabinę rufową przeszedł do salonu. Carlo miał dwa akwalungie, ich wyposażenie dodatkowe leżało na stole.

- W kambuzie jest woda i kawa - oznajmił Chavasse.

- Pójdź póki. Najpierw chcę sprawdzić ten komplet.

Ten dziwny, milczący chłopak nigdy nie miał wiele do powiedzenia z własnej inicjatywy, ale w trudnych sytuacjach dobrze miał u boku takiego jak on; był bardzo oddany Orsiniemu. Siedział teraz na brzegu stołu z papierosem w ustach i kontrolował różnicę ciśnienia w punkcie. Chavasse przyglądał mu się przez chwilę, a potem przeszedł do innej kabiny.

Leżał gapiąc się na przepierzenie i myślał o czekającym go zadaniu. Jeśli Franceski nie zawiodła pamięć i jeśli koordynaty, które im podała, są dokładne, cała sprawa była prosta.

W tych lagunach nie mogło być miejsc głębszych niż na pięć do sześć metrów, a wydobycie posrebrza nie powinno trwać długo. Przy odrobinie szczęścia mógł wrócić do Matano za dwadzieścia cztery godziny.

Usłyszał z kambuzy głosy: Franceski zupełnie wyraża niechęć, a potem Carla mniej tego się, co było czymś niezwykłym. Chavasse odczuł lekkie, bezrozumne ukłucie zazdrości. Leżał myślał o niej, a dochodzące go głosy mieszały się z pulsowaniem silników i chlupotem wody o kadłub.

Gdy się obudził, nie zdawał sobie sprawy, że spał. Spojrzawszy na zegarek, stwierdził wstrząśnięty, że jest druga w nocy. Na przeciwległej koi spał Orsini z twarzą spokojną i jedną ręką zarzuconą za głowę. Chavasse nacisnął kurtkę marynarską i wyszedł na pokład.

Nad wodą wiła się mgła, a Buona Esperanza galopowała z przerażeniem szybko.

Nie było widać księżyca, ale gwiazdy leżały rozrzucone na całym niebie jak brylanty na czarnej, aksamitnej poduszce, a woda połyskiwała w ciemnościach.

Przy sterze stał Carlo; jego głowa wyglądała jak maska w świetle kompasu okrętowego. Chavasse wszedł do kabin i zapalił papierosa.

- Jak nam idzie?

- Wietnie - odrzekł Carlo. - Trzymaj się na kursie jeden-cztery-zero do trzeciej rano i wtedy zmień na jeden-cztery-pięć. Giulio powiedział, że pojawi się około czwartej. Wtedy będziemy blisko brzegu.

Drzwi zatrzasnęły się za nim, ale przedtem wpuściły powiew wiatru, który uniósł mapy, obiegł sterówki, poszukując drogi wyjścia i wreszcie zamarł w kącie. Chavasse opuścił siedzenie przymocowane na zawiasach do ściany i usadowił się wyprostowany, trzymając mocno ster w dłoniach.

To właśnie nie lubił najbardziej na świecie. Był sam na sam z morzem, noc i łodzi.

Było to głąboko ukryte w jego podświadomości, co jak pamięć przekazana mu przez bretońskich przodków, mężczyzn, którzy kochali morze bardziej niż jakkolwiek kobiety, którzy egłowali na Wielkie Ławice przy północnoamerykańskim wybrzeżu na półwyspie dorsza na długo przedtem, nim Kolumbowie czy Cabotowie zamierzali o przepłynięciu Atlantyku.

Deszcz zabłonił o szyby, drzwi sterówki otworzyły się nagle i do Chavasse'a doleciał mocny zapach kawy, zmieszany z innym, subtelniejszym aromatem.

- Co może na mnie do zarzucenia łódkę o tak wczesnej godzinie? - zapytał.

Zachichotała cichutko.

- Och, tu jest o wiele zabawniej. Co słychać?

- Jesteśmy dokładnie na kursie. Jeszcze godzina i Orsini przejmie ster na kolejny etap.

Opuściła drugie podnoszone siedzenie obok niego, ustawiła przyniesioną tacę na stole nawigacyjnym i naleła kawy do dwóch kubków.

- Może kanapki?

Zdziwił się stwierdziwszy, jak zgłodniał. Jedli w koleżeńskim i intymnym milczeniu, dotykając się udami. Po jedzeniu poczuł papierosem, ona zaś znów naleła kawy.

- Jak teraz oceniasz nasze szanse, Paul? - spytała. - Tylko mów prawdę.

- Wszystko zależy od tego, jak dokładnie twój brat wziął namiary szalupy, gdy toniała.

Jeśli zdołamy ją bez większych trudności odnaleźć, reszta powinna pójść jak po maśle.

Nurkowanie po Madonnę w wodzie takiej głąbokości nie będzie wielkim wyczynem. Jeśli warunki pogodowe będą sprzyjały, powinniśmy jeszcze dzisiaj

wieczoru by w drodze powrotnej.

- I nie przewidujecie żadnych trudności w Zatoce Drin?

- Ze strony albańskiej marynarki wojennej? - Potrzebna głowa. - Z punktu widzenia skuteczności ona prawie nie istnieje. Przed wielkim zerwaniem Rosjanie mieli tu całkiem poważną bazę, ale wycofali się, gdy Hodja odmówił podporządkowania się ich linii partyjnej.

To było coś, czego wcześniej nie przewidział, a Chiny leżą zbyt daleko, by mogły mu pomagać.

- Co za kraj. - Potrzebna głowa. - Jestem gotowa uwierzyć w legendzie mówiącej, że gdy przy rozdawaniu boskich darów przyszła kolej na Albanię, Bogu zostały już tylko same kłopoty.

Chavasse skinął głową.

- Niezbyt wesoła historyjka.

- Podbój za podbojem, wiecie ich nie w jakimkolwiek innym europejskim kraju.

Grecy, Rzymianie, Bizantyjczycy, Serbowie, Bułgarzy, Sycylijczycy, Wenecjanie, Normanowie i Turcy. Wszyscy oni okupowali kraj w różnych okresach.

- A naród zawsze walczył o wolność. - Chavasse pokręcił głową. - Jakże ironiczny potrafi być los. Po wiekach desperackiej walki o niepodległość Albania uzyskuje ją tylko po to, by znaleźć się w szponach tyranii gorszej niż którejkolwiek poprzednia.

- Czy doprawdy jest tam tak źle, jak mówi?

Potwierdził skinieniem.

- Sigurmi jest wszechobecna. Nawet Włoskie Stowarzyszenie Wczasów Robotniczych skarży się, że podczas wycieczek urlopowych do każdego uczestnika zostaje przydzielony jeden agent. Tylko w przybliżeniu licząc, oceniam, że ofiarami czystek Hodji i jego ludzi padło ponad sto tysięcy Albańczyków od chwili, gdy przejął władzę; a sama wiesz, jak są traktowane różne wyznania religijne. Stalin byłby dumny z tak zdolnego ucznia.

Widać było, że rozmowa o tych sprawach przygnębiła dziewczynę, a Chavasse przypomniał sobie, ilu członków jej rodziny cierpiało. Chętnie dałby sobie kopniaka za poruszenie tego tematu.

Szybko wyciągnął papierosy i począł stawać. Przez chwilę paliła w milczeniu, a potem odezwała się powoli:

- W zeszłym roku znikło dwóch ludzi, którzy czasowo działali dla S2 w Rzymie. Jeden w Albanii, drugi w Turcji.

Chavasse skinął głową.

- Matt Sorley i Jules Dumont. Dwóch dobrych ludzi.

- Jak możesz prowadzić takie życie? Tego rodzaju wypadki muszą być bardzo częste.

Pomyślał, że o mały włos nie wy dostałby się z Tirany.

- Byłbym nigdy nie dorosłem - odparł lekkim tonem. - Wieczny uczeń,

bawi cy si w złodziei i policjantów albo w Robina Hooda na szkolnym boisku.

- Jak to si zacz ło?

- Całkiem przypadkowo. Wykładałem j zyki obce na jednym z brytyjskich uniwersytetów; kto z przyjaciół chciał wydoby krewnego z Czechosłowacji, a ja mu pomogłem. I wtedy szef wci gn ł mnie do roboty. Był w tym okresie zainteresowany lud mi, mówi cymi j zykami wschodnioeuropejskimi.

- Niecodzienne osi gni cie.

- S ludzie, którzy potrafi w pami ci wyci ga pierwiastki kwadratowe, s inni, którzy nie zapominaj nic z tego, co kiedykolwiek przeczytali. Ja mam podobny defekt mózgu w zakresie j zyków. Wsysam je jak g bka, bez wysiłku.

Przesła na płynny alba ski.

- Czy to nie jest troch denerwuj ce? Czy ci si nigdy nie pl cz przewody?

- Niczego takiego nie pami tam - odparł w tym samym j zyku. - Nie mog sobie pozwoli na takie bł dy. Je li ci to pociesz, ci gle jeszcze nie umiem przeczyta chi skiej gazety. Z drugiej jednak strony, spotkałem tylko dwóch Europejczyków, którzy to potrafi .

- Z tego rodzaju talentem i twoim uniwersyteckim wykształceniem mógłby uzyska katedr filologii na prawie ka dym uniwersytecie w Wielkiej Brytanii czy w Stanach - orzekła. - Czy nie poci ga ci taki pomysł?

- Ani troch . Do tej roboty dostałem si przypadkiem i przez przypadek mam wszystkie cechy niezb dne, by osi ga w niej sukcesy.

- Chcesz przez to powiedzieć , e ona naprawd sprawia ci przyjemno ?

- Co w tym rodzaju. Gdybym urodził si dwadzie cia lat wcz niej w Niemczech, prawdopodobnie wyl dowalbym w gestapo. Gdybym urodził si Alba czykiem, bardzo łatwo stałbym si najsprawniejszym człowiekiem Sigurmi. Kto to wie?

Była zaszokowana.

- Nie wierz ci.

- Czemu nie? Do tego rodzaju roboty potrzeba okre lonego typu m czyzny albo kobiety, profesjonality. Potrafi rozpozna takie zdolno ci u moich przeciwników i doceni je. Nie widz w tym nic złego.

Zapadła pełna napi cia cisza i Chavasse wiedział, e w jaki sposób rozczarował j .

Si gn ła po tac .

- Lepiej zabior to na dół. Pewnie ju jeste my blisko.

Gdy drzwi zamkn ły si za dziewczyn , Chavasse otworzył okno i odetchn ł ostrym powietrzem poranka, czuj c dziwny smutek. Jak e cz sto ludzie tacy jak ona, ci z peryferii zawodu, którzy załatwiali papierkow robot , obsługiwali radiostacje czy rozszyfrowywali depesze, nie potrafili do ko ca zrozumie , jak jest w terenie. Ile tam trzeba wło y wysiłku, by prze y . No có , on, Paul Chavasse, prze ył, i to nie

wrzeszcząc o patriotyzmie.

Więc co ty u diabła tu robisz? - zapytał sam siebie i na chwilę uśmiechnął się ponuro.

Co takiego powiedział Orsini? Czego my nie robimy dla państwa. I miał rację, ta rzeczywiście była kimś niecodziennym, kimś całkiem niecodziennym.

Drzwi otwarły się i wszedł Orsini, potoczył się w swej starej kurcie i włożył na niego czapkę z daszkiem.

- Wszystko w porządku, Paul?

- Lepiej być nie może. - Chavasse skinął głową i przekazał mu ster.

Orsini zapalił jedno ze swoich okropnych cygar.

- Dobrze. Teraz już niedługo.

Na niebo zaczął wypełzać świt, słaby blask w różnistej mgły, przewalającej się po wodzie. Orsini poprosił Chavasse'a, by znów przejął ster, a sam zajął się mapami.

Sprawdził koordynaty podane mu przez Francescę i wykreślił prawdopodobny kurs do tego punktu z morza przez zaznaczony na mapie labirynt kanałów.

- Wszystko okay? - spytał Chavasse.

Orsini wrócił do steru i wzruszył ramionami.

- Znam te mapy. Cztery do pięciu są niegłębokie i silne prądy pływowe. Znaczący to, że jednego dnia masz w jakimś miejscu piaszczyste łachy, a następnego dzień są czyste wody. Bagna przy ujściach rzek zawsze są jednakowe. Wpłyniemy głównym wylotem Buni i przez błota skręcimy jakiś kilometr w głębi. Nie tylko bezpieczniej, ale i, szczerze mówiąc, szybciej.

Mgła otulała ich coraz mocniej, a wokoło płynęli przez dziwny, zamknięty wiat.

Orsini zmniejszył szybko do pięciu węzłów, a w parę chwil później Carlo i Francesca wynurzyli się z dołu.

Chavasse poszedł na dziób i stanął tam z rękami w kieszeniach. Z mgły wypływały bagna, ich smród wypełniał nozdrza. Dzikie ptactwo krzyczało nad jego głowami w drodze z morza w głębi. Obok niego zjawił się Carlo i przebiegł.

- To złe miejsce. Zawsze cieszę się, gdy je opuszczam.

Był to krajobraz jak z nocnego koszmaru. Długie i wąskie piaszczyste łachy wystawały z wody, a w głębi przesuwają się we mgle kilometr za kilometrem bagienne trawy i wysokie trzciny, przeplatane tysiącami strumyków i lagun.

Orsini zredukował szybko do trzech węzłów i wychylił się przez boczne okno, patrząc, jak po przeciwnej stronie przesuwają się trzciny.

Chavasse popatrzył na niego.

- Jak daleko jesteśmy od pozycji, podanej przez Francescę?

- Około pół kilometra, ale droga będzie zbyt trudna.

Za chwilę będziemy musieli kontynuować na pontonie. Znacznie bezpieczniej.

- A kto zaopiekuje się łodzią?

- Carlo, wszystko już ustalone. Nie jest z tego zadowolony, ale przecie on rzadko bywa zadowolony z czegokolwiek.

Umiechnął się do Carla, który rzucił mu piorunujące spojrzenie i zszedł na dół.

Chavasse dołczył do stojącej na dziobie Franceski. W parę chwil później łódź wpłynęła na małą lagunę o rednicy około trzydziestu metrów i Orsini zgasił silniki.

Popłynęli do przodu samym rozpięciem i łagodnie osiedli na piaszczystej mieliźnie.

Orsini zszedł na pokład i dołczył do nich. Otoczył ramieniem barki Franceski i umiechnął się do niej.

- Teraz już niedługo, cara. Jeszcze parę godzin i będziemy z powrotem w drodze do domu. Ja, Giulio Orsini, obiecuję ci to.

Podniosła głowę i spojrzała na niego z powagą, a potem odwróciła się do Chavasse'a z dziwnym, mrocznym wyrazem w oczach, on zaś, z jakiego niewytłumaczonego powodu, zadrżał.

8

Pełne piśmiennictwo

Francesca ugotowała gorący posiłek, który może być dla niej ciężki, im na dłuższy czas, a później Carlo i Chavasse wyciągnęli duży, gumowy ponton, napełnili go powietrzem i zamocowali silnik.

Gdy zeszli pod pokład po akwalungę, zastali tam Orsiniego siedzącego na brzegu stołu i ładującego pistolet maszynowy. Zdjął wierzch jednego z siedzeń w salonie, ujawniając obfity asortyment broni. Pistolet maszynowy, parę karabinów automatycznych i stary karabin maszynowy Bren, używany przez brytyjską piechotę podczas wojny.

- Czuj się - powiedział Orsini. - Do wyboru wedle gustu.

Chavasse wyjął jeden z automatycznych karabinów Garrand i kiwnął głową.

- To mi wystarczy. Co z pestkami?

- Gdzie tutaj jest ich do woli.

Stały rzędem trzy skrzynki. Pierwsza zawierała granaty, druga kilka pasów amunicyjnych z ładownicami. Chavasse wyjął jeden z nich, ale Orsini potrząsnął głową.

- To jest materiał wybuchowy, którego używali my podczas wojny do sabotażu podwodnego. Mam go od lat.

- Fantastyczna rzecz, odpowiednia, by na niej sadzić ludzi - zauważył Chavasse.

Orsini umiechnął się szeroko.

- Dokładnie to, czego potrzeba na ryby. Wsadzasz chemiczny zapalnik w kawałek wielko ci twojej piśmiennicy, wyrzucasz za burtę i czekasz. Wypływają tysiącami. Weź trochę tego ze sobą, po prostu na wypadek, gdyby my musieli coś wysadzić.

Chavasse znalazł amunicję w następnej skrzynce, załadował swego garranda i zapiął na biodrach pas, zawierający sto naboju. Pomógł Carlowi zanieść na górę jeden z akwalungów, który złożyli na dziobie pontonu wraz z parą innymi rzeczami wyposażenia. Gdy ukończyli, na pokładzie pojawili się Orsini i Francesca.

Dziewczyna otuliła się przed zimnem starą kurtką marynarską Carla, podwinęła rękawy, a na głowie zawiązała po chłopsku szalik. Była spokojna, ale bardzo blada, a pod oczami miała niebieskie cienie.

Pomagajcie wsiedzieć do pontonu, Chavasse ucisnął jej dłoń.

- Wkrótce będziecie po wszystkim. Ruszymy w drogę powrotną, nim zdążysz zauważyć.

Umiechnęła się słabo, ale nie odpowiedziała, on zaś zszedł do pontonu i usiadł obok niej, trzymając garranda na kolanach. Za nim podał się Orsini i usadowił się na rufie. Rzucił okiem do góry na Carla i umiechnął się.

- Jeśli wszystko dobrze pójdzie, wracamy dziś wieczorem. Z pewnością ci nie pójdzie jutro o wicie.

- A jeśli nie?

- Zawsze widzisz tylko ciemne strony.

Orsini wcisnął automatyczny starter i potoczył silnik ożył z rykiem. Zaalarmowane dzikie ptactwo zerwało się z trzcin, wypełniając swymi głosami powietrze. Gdy Carlo puścił cum, ponton szybko ruszył do przodu. Chavasse po raz ostatni ujrzał ciemną, ponurą twarz Carla skierowaną ku nim spod nadburcia, a potem otoczyły ich moczary.

Trzcinę wynurzały się z mgły jak blade zjawy, a jedynym odgłosem był równy grzechot silnika. Orsini obserwował kompas, skracając z jednego wskiego kanału w drugi; kierowali się do zaznaczonej na mapie pozycji, podanej przez Francescę.

Siedziała w milczeniu, z dłońmi w kieszeniach kurtki, a Chavasse, patrząc na nią, zastanawiał się, o czym może myśleć. Zapewne o swym bracie. O jego mierci i własnej walce o przeżycie podczas tego koszmaru na jawie. Smród blocka, ciemki i przenikliwy, wypełnił mu nozdrza, więc szybko zapalił papierosa.

Mniej więcej godzinę później wypłynęli na szerszy kanał i Orsini zgasił silnik.

- Jesteśmy w pobliżu pozycji, którą mi podała - powiedział do Franceski. - Poznajesz tu cokolwiek?

Wstała i rozejrzała się. Gdy znów usiadła, była zaniepokojona.

- Te kanały wszystkie wyglądają jednakowo, ale jestem pewna, że to nie tutaj. Tamto miejsce było znacznie mniejsze. Pamiętam, jak mój brat skierował łódź w trzcinę, by ją ukryć, a potem nagle wypłynęli my na tak małą lagunę.

Orsini wstał i popatrzył wokół, ale we mgle cięgnęły się trzcinę, tworząc na pozór nieprzekraczalną zaporę. Zwrócił się do Chavasse'a, wzruszając ramionami.

- To zdecydowanie jest pozycja zgodna z jego zamiarem, więc laguna, o której ona mówi, nie może być daleko. Będziemy musieli po prostu poszukać.

Chavasse zaczął się rozbiierać .

- Mam w Bogu nadzieję , że moje ostatnie zastrzyki przeciw malarii jeszcze działają .

Dla zabezpieczenia przed zimnem nie zdjął kalesonów i koszuli; skoczył przez burtę i popłynął w poprzek kanału. W chwili pó niej Orsini poszedł w jego łody i wpłynął w mgłę w przeciwnym kierunku.

Panował dokuczliwy zimny i Chavasse zakaszał, a potem odbiło mu się , gdy silny, ziemisty smród cisnął mu gardło. Popłynął w ród trzciny wzdłuż wąskiego kanałiku, który zakręcając wyprowadził go z powrotem na główny kanał.

Spróbował innego, którym w parę chwil pó niej dotarł na płytką lagunę , zaledwie około półtora metra głębokość . Wpłynął znów między trzciny, przepychając się przez nie. W tym momencie Orsini zawołał przez mgłę z drugiej strony przeszkody i Chavasse ruszył do niego. Wynurzył się na skraju małej laguny, o rednicy nie przekraczającej trzydziestu metrów. W tej samej chwili Orsini tak się pojawił na powierzchni.

Włoch unosił się na wodzie, trochę pokaszując, z włosami przyklepionymi do czoła.

Chavasse popatrzył w dół i ujrzał motorową szalupę , przeglądając przez piersi czystą wodę, a potem dał pionowo nurka.

Przełknął linę , by zmniejszyć ciśnienie w uszach, następnie chwycił za nadburcie i zawisł na nim. Szalupa przechyliła się na bok. Przedostał się do rufy, gdzie na jej wypukłości odnalazł napis zrobiony złotymi literami Teresa - Bari. Szybko zbadał wzrokiem stan wraka, a potem puścił reling i wystrzelił na powierzchnię .

Machając nogami chwycił powietrze i uderzył się do Orsiniego.

- Dobra nawigacja.

- Moja matka, niech spoczywa w spokoju, zawsze mówiła mi, że jestem genialny.

Orsini odwrócił się i popłynął przez lagunę , pakując się między trzciny. Chavasse podążył za nim. Wynurzyli się na głównym kanale w zasięgu wzroku od pontonu i skierowali w jego stronę .

- Udało się ? - spytała Francesca.

Orsini kiwnął głową .

- Dokładnie jak opisała . Tak blisko, a przecie tak daleko. Bez twoich zamiarów byłoby beznadziejnie. Można by przeszukiwać te bagna przez rok i niczego nie znaleźć .

Wgramolili się do rowka, Orsini uruchomił silnik i skierował się ku cianom trzciny.

Przez chwilę zdawały się barierą nie do pokonania, choć Chavasse i Francesca rozgarniali je ze wszystkich sił. Nagle rozstały się , a ponton znalazł się na lagunie.

Orsini zgasił silnik, siłą rozpędu posunął się jeszcze do przodu. Francesca patrzyła przez burtę w głęboką przezroczystą wodę, twarz miała białą jak papier. Nagle zadrżała i podniosła głowę .

- Czy to długo potrwa?

Orsini potrząsnął głową.

- Przymocujemy się liną, by utrzymać się w miejscu, a jeden z nas zejdzie w dół z akwalungiem. Przy odrobinie szczęścia za parę godzin wydostaniemy się na powierzchnię. - Zwrócił się do Chavasse'a. - Masz ochotę jeszcze popływać?

Chavasse kiwnął głową.

- Czemu nie? W wodzie nie może być zimniej niż tu na górze.

Gdy mocował cięgi sprząta do pleców, wiatr ciął go przez cienką koszulkę jak bagnet.

Orsini zapiął mu pasy, Francesca przyglądała się szeroko otwartymi oczami w pobliżu twarzy, widać Chavasse uśmiechnął się.

- Kaszka z mleczkiem. Znikniemy stąd, nim się obejrzyś.

Zmusiła się do uśmiechu. Chavasse nacisnął maskę na twarz, przysiadł na burcie i osunął się do wody na plecy i głowę. Gdy znów się wynurzył, Orsini rzucił mu cumki.

Chavasse zanurkował, zatrzymał się na chwilę, by wyregulować dopływ powietrza, a potem stromym łukiem popłynął w stronę szalupy.

Teresa leżała niemal dnem do góry. Unosiła się nad jej rufowym relingiem, przywił za swój koniec linki i wreszcie popłynął w kierunku nadbudówki, wbitej pod ostrym kątem w piaszczyste dno laguny.

W kadłubie i nadbudówce widać było poszarpane dziury od pocisków, niemych wiadków walki Teresy z albańczykami patrolowymi. Dach salonu został czymś bezpořrednio uderzony, zejściówka była cięko uszkodzona, a jedyną drogę do rodka stanowił wski otwór.

Chavasse'owi udało się tam przedostać, przepychając się siłami i ocierając akwalungiem o poszarpane, ostre brzegi metalu. Stół w salonie wyrwał się ze złącz podłogowych i pływał koło grodzi wraz z parą butelkami i skórzanymi poduszkami.

Nie było nawet ładunku Madonny ani niczego, co by ją przypominało. Chavasse popłynął do drzwi kabiny dziobowej. Dach w tym miejscu został wbity do rodka przez coś, co wyglądało jak pocisk artyleryjski i skręcona masa metalu blokowała drzwi. Chavasse zrobił zwrot, przepłynął przez salon i skierował się ku wiatłu.

Wynurzył się za rufę pontonu i podpłynął do niego. Orsini pomógł mu przedostać się przez burtę, a Chavasse skulił się na dnie i podniósł maskę.

- We wnętrzu panuje kosmiczny bałagan. Wszystko porzucane.

- A Madonna?

- Ani ładunku. Nie mogłem przedostać się do wnętrza trznej kabiny. W tym końcu salonu jest masa potrzaskanych szczęk, a drzwi kabiny zakleszczyły się.

- Ale ona tam właśnie nie jest! - zawołała Francesca. - Teraz sobie przypomniałam. Gdy zaczęła się strzelanina, Marco dla lepszego zabezpieczenia włożył ją pod jedną z

koi. Była owinięta kocem i obwinięta ceratą przeciw wilgoci. Cały pakunek miał z półtora metra długości.

Spod ławki na rufie Orsini wydobył pakiet.

- Dobrze się składa, że zabrałem trochę tego materiału wybuchowego. Będziesz musiał wybić tam sobie przejście.

Rozpakował pas amunicyjny i wyjął z niego kawałek plastiku w kształcie kielbaski.

- To powinno wystarczyć. Nie trzeba rozwałkić na kawałki całej łodzi.

Z drugiej paczki wyjął małe, drewniane pudełko z paru chemicznymi zapalnikami paluszkowymi. Każde z nich było starannie otulone folią.

- Ile czasu one mi dadzą? - spytał Chavasse.

- Pełne minuty. Mam kilka nastawionych na dłuższy czas, ale zostawiłem je na łodzi.

- No cóż, bardzo ci dziękuję, przyjacielu - rzucił Chavasse. - Chcesz zainkasować moje ubezpieczenie?

- Minuta to a nadto. Wystarczy, że wepchniesz detonator, odłamiesz jego koniec i wyniesiesz się. Mogę sam to zrobić.

- Przestań się popisywać - zadrwił Chavasse. - (reszta) i tak nie przepchniesz swego ciała przez zejście ciówku, salonu.

Zagryzając w ząbach gumowy ustnik rury oddechowej widział biały twarz Franceski.

Naciągnął maskę i przewinił się przez burtę na plecy.

W przezroczystej wodzie szybko osiągnął dno, bez kłopotów pokonał zejście ciówku i wpłynął do rodka. Wepchnął plastik w róg u dołu drzwi i starannie umieścił zapalnik. Przez chwilę unosił się w wodzie, spoglądając na niego, a potem odłamał koniec.

Detonator zapalił się natychmiast, sycząc jak petarda. Chavasse odwrócił się i popłynął do zejścia ciówku. Gdy przeciskał się przez woski otwór, jego akwalung utknął w poszarpanym metalu. Zatrzymał się, opanowując panikę i ostro nie uwolnił się z pułapki. W chwilę później mknął już ku powierzchni.

Wypłynął przy burcie pontonu, a Orsini wciągnął go do rodka. Niemal w tej samej chwili rozległ się stłumiony ryk i ponton się zakolebał. Powierzchnia wody zakipiała, a z dołu wyskoczyły szczątki wraku, piasek i muł, spływając wielkimi plamami w stronę trzcin.

Czekali przez piętnaście minut. Stopniowo woda przejaśniała się i kadłub szalupy znów stał się widoczny. Orsini i skinął głową i Chavasse ponownie przewinił się przez burtę.

W wodzie nadal unosił się piach i muł jak wielka kurtyna, zasłaniając mu widok, ale niezbyt mocno, więc oparł się w dół ku Teresie.

Wybuch naruszył nawet dostęp do zejścia ciówku, turbulencja wypchnęła szczątki na pokład. Chavasse bez przeszkód przedostał się przez salon.

W miejscu gdzie poprzednio były drzwi kabiny, znajdowała się dziura. Popłynął naprzód, zatrzymał się na chwilę, a potem przedostał do środka.

Piętrowe koje były nienaruszone, ale pod powierzchnią pływała podgroźna, poruszająca się leniwie w wodzie jak żywe stworzenie. Przepchnął się przez białawy gęszcz i zaczął szukać Madonny. Natychmiast stało się jasne, że darmo traci czas. Nigdzie nie było opisanego przez Francese półtorametrowego zawiniątka w ceracie. Madonna wyrzeźbiona z hebanu, drewna ciemnego, ale zdolnego pływać w wodzie. Przesunął się obok unoszących się koców, odciągnął je na bok i zaczął gorczkliwe poszukiwania. Ale znów tylko tracił czas nadaremnie.

Wydobyszy się na zewnątrz, chwycił reling rufowy i zawisł w wodzie jak jakiś dziwny stwór morski. Może Francesca pomyliła się. Może brat umiecił figurę gdzie indziej w szalupie. Była jeszcze możliwość, że wybuch wyrzucił ją gdzie na zewnątrz.

Zdecydował, że wznowi poszukiwania, przeglądając szalupę systematycznie od jednego końca do drugiego. Ale najpierw musi powiadomić Orsiniego, co się stało.

Wynurzył się w odległości metra od pontonu i natychmiast znów zanurkował. Orsini stał plecami do niego, z rękami podniesionymi do góry. Po drugiej stronie pontonu i znajdowała się płaskodenna krypa bagienna z motorem na rufie. Zajmowało ją trzech Albańczyków w brudnych, brązowych mundurach i czapkach z daszkiem, ozdobionych czerwonymi gwiazdami armii republiki. Dwaj z nich grozili pistoletami maszynowymi Orsinemu i Francesce, trzeci zaś włączył nieprzełaz do pontonu.

Gdy seria z pistoletu maszynowego wzburzyła wodę w miejscu, gdzie się wynurzył, Chavasse płaskim łukiem wpłynął pod ponton. Jego akwalung otarł się o dno krypy.

Wyciągnął ramiona, chwycił za ławkę wiosłarza i wywrócił w tył łódź dnem do góry.

Któryś z żołnierzy zwałił się na niego, młóćc nogami w panice. Chavasse otoczył mu szyję ramieniem i pociągnął w głębi wody. Otarł boleśnie nogi o rufowy reling Teresy i zaczepił o niego jedną dłoń, drugą zaciskając mocniej na schwytanym człowieku.

Żołnierz skierował głowę w bok, próbując zakrzywionymi palcami wyszarpnąć rurę oddechową z ust napastnika. Chavasse zacisnął wargi i nie popuszczał. Kończyny żołnierza poruszały się powoli, słabnąc wyraźnie, a nagle zaprzestał w ogóle walki. Chavasse wypuścił go i trup odpłynął wirując.

Piasek na dnie laguny wzburzył się jak wielka chmura. Chavasse zacisnął ustnik rury oddechowej w zębach i zaczął płynąć do góry. Nad nim panował straszliwy zamęt, kończyny ludzkie młóciły się wzajemnie we wzburzonych zmaganiach.

Wynurzył się w samym środku walki wyciągając nogę z pochwy i uderzył w niewyraźny, odziany w mundur kształt. Żołnierz szarpnął się i odepchnął Chiavasse'a tak mocno, że ten wypłynął na powierzchnię.

O parę metrów od niego duży motorówka zderzyła się z pontonem. Zobaczył

Francesce szamocz c si mi dzy dwoma olnierzami i Orsiniego unosz cego si w wodzie obok łodzi z twarz we krwi.

Do burty rzucił si olnierz z wycelowanym pistoletem maszynowym, lecz wówczas m czyzna w ciemnym skórzanym płaszczu z wysokim futrzanym kołnierzem przyskoczył i odepchn ł luf , tak e pociski nieszkodliwie poleciały w niebo.

- ywcem! Chc go mie ywcem!

Przez krótk chwil Chavasse patrzył w twarz podnieconego Adema Kapa, a potem zło ył si wpół i zagł bił w wod , popychany ruchem stóp w płetwach w kierunku skraju laguny. Wpłyn ł mi dzy trzciny, przeciskaj c si rozpaczliwie mi dzy nimi. W par chwil pó niej wynurzył si . Słyszał za sob głosy, zdradzaj ce silne podniecenie, a potem zaskoczył silnik motorówki.

Przedarł si na główny kanał, przebył go w poprzek do małego dopływu i tam zaczą ł płyn ze wszystkich sił.

9

Pojawia si Liri Kupi

Motorówka skr ciła z bocznego kanału na główny nurt Buny, ci gn c za sob na cumie ponton. Na rufie stłoczyło si czterech olnierzy, pal c papierosy i rozmawiaj c przyciszonymi głosami. Ciała ich dwóch kolegów, zabitych przez Chavasse'a na lagunie, le ały obok nich pod plandek .

Orsini przykuty był do relingu i wydawał si na pół przytomny. Głow miał niedbale zabanda owan w miejscu, gdzie ugodziła go kolba karabinu. Franceski Minetti nie było wida , ale Adem Kapo wielkimi krokami przemierzał przedni pokład, niecierpliwie pal c papierosa.

Orsini ledził go przez półprzymkni te powieki. Po chwili z zej ciówki wynurzył si drugi człowiek. Był tak wielki jak Orsini, miał pełn szram, brutaln twarz, a na sobie mundur pułkownika Armii Republiki Alba skiej z zielonymi patkami wywiadu wojskowego na kołnierzu.

Kapo zwrócił si do niego. Oczy miał jak czarne dziury w bladej twarzy.

- No?

Pułkownik wzruszył ramionami.

- Niewielki z niej po ytek.

Niski m czyzna wybuchn ł niepohamowan zło ci .

- Do cholery, mówile , e wszystko zadziała. e wystarczy nam poczeka , a oni wlez prosto w sieci. I co, u diabła, mam powiedzie w Tiranie?

- A jak s dzisz, co on mo e zrobi ? Wypłynie st d? - Wielki m czyzna za miał si zimno. Do cigniemy go, nie ma strachu. Noc sp dzona samotnie w takim miejscu jak

to i stanie się całkiem malutki.

- Miejmy nadzieję, że masz rację.

Kapo podszedł do Orsiniego, przez chwilę patrzył na niego z góry, a potem kopnął w ciekłe w bok. Włoch zdławił w gardle okrzyk bólu i nadal udawał zemdlonego. Kapo odwrócił się i znów podjął swój spacer.

Kiedy motorówka okrążyła przyldek wrzynający się w rzekę, Chavasse ostro nie rozgarnął trzciny. Stał po pierś w wodzie nie dalej niż o piętnaście metrów od przepływającej łodzi, a jego wyszkolone oczy spostrzegły wszystko: Orsiniego i ołnierzy, stojącego na dziobie Kapa z cygarniczką sterującą w kciuk ust.

Najbardziej interesująca była obecność Tashka. Gdy Chavasse widział go po raz ostatni, był ubrany jak kadet marynarz z wybrzeża Taranto. Teraz miał na sobie mundur Albańskiej Służby Wywiadowczej, co wiele wyjaśniało. Za nim przez okno sterówki widać było głowy i barki noownika Hajiego, stojącego przy sterze.

Motorówka zniknęła we mgle, a Chavasse przedostał się przez wodę do kawałka względnego suchego lądu, by ocenić sytuację. Smród bagna zatykał mu nozdrza, przejmujący chłód przenikał do kości, paraliżując umysł i utrudniając rozsądne myślenie.

Wiele rzeczy nie miało tu zupełnie sensu, ale sprawa podstawowa była nader oczywista. Adam Kapo nie jest zwykłym agentem, lecz kimś o wiele ważniejszym. Zapewne wysokim oficerem Sigurmi. Musiał nim być, jeżeli mógł rozkazywać pułkownikowi wywiadu wojskowego.

W każdym razie to człowiek, który wie, co robi. Na pewno z Matano popłynął prosto w kierunku Buny, a jego dwudziestoczterogodzinne wyprzedzenie dało mu tyle czasu, ile potrzebował, by dotrzeć do Tamy i zorganizować stosowne przyjęcie.

Buona Esperanza musiała być pod obserwacją od chwili, gdy dotarła do brzegu, a wyłedzenie pontonu nie stanowiło wielkiego wyczynu dla człowieka, który znał te bagna.

Zastanawiał się, co się stało z Carlem. Zapewne w tej chwili był także w drodze do Tamy. Było to jedyne większe miasto w okolicy i z pewnością stanowiło bazę operacyjną Kapa.

Odgłos silnika motorówki cichł w oddali. Chavasse ześlizgnął się do wody i popłynął w łódź za nim. Najwcześniej za godzinę zaczął go poszukiwać własnymi siłami, zapewne koncentrując się w kierunku wybrzeża.

W tych okolicznościach Tama chyba będzie najbezpieczniejsza. Znajdują się tam przynajmniej domy rozrzucone nad brzegiem rzeki, a gdzieś domy, musi być sucha odzież i pożywienie. Byłoby nawet miało okazję zrobić coś dla pochwycionych przez Kapa, choć nie żywił na ten temat wielkich nadziei.

Około piętnastu minut później skończyło mu się powietrze w akwalungu. Szybko wypłynął na powierzchnię i brodził w rzece, zagłębiając się w trzcinach. Ciągnął gumowe pletwy, odpiął cięki sprzątki i pozwolił wszystkiemu utonąć w mule.

Szedł przed siebie przez trzciny, a dzikie ptactwo, zaniepokojone jego obecnością, podrywało się z krzykiem z wody. Po chwili wydostał się na wyszyty teren i poszedł przez mgłę, bacząc, by nie rzekł po lewej stronie.

Trudno było iść przez łachy mułu i bagno, a co chwila musiał brnąć przez wskie strumyczki, czsto zapadając się po pas w gęstym, lepkim mule. Ślona woda bole nie szczypała go w oczy, a dojmująca zimno pozbawiała ciepła, a koki czyny straciły zupełnie czucie.

Po chwili grunt stał się twardszy i Chavasse stwierdził, że zatacza się po zbitym piasku i spryskiej bagiennej trawie. Zatrzymał się na małym pagórku, pochyliwszy głowę lekko na bok. Poczł w powietrzu dym palącego się drewna, snującego się z wiatrem, pachnącego mocno i gryzącego.

W ska odnoga rzeki otaczała niewielki wysepek, a z mgły wylaniał się niski dom. Nie było ani znaku życia, nie było żadnej łodzi, przycumowanej do wskiego, drewnianego pomostu. Zapewne to dom rybaka albo łowcy dzikiego ptactwa, który wyszedł na inspekcję swych pułapek. Chavasse skierował się w górę rzeczulki, spłoszył dziką kaczki i wszedł znów do rzeki, pozwalając, by przed nim zniósł go w stronę wysepki.

Wylądował w ród trzciny i ostro nie zaczął się w ród nich przesuwając, wyciągnął nóg. Dom stał nie dalej niż o dwadzieścia metrów. Była to nader uboga chałupa z grubo ciosanych bali, z dachem z gontów i kamiennym kominem.

Dwie czy trzy chude kury dziobały leniwie ziemię i rozbiegły się, gdy wszedł na skrawek wolnego gruntu. Tylne drzwi stanowiło po prostu kilka grubych, zbitych gwoździami desek, a kiedy odwiął przytrzymujące je łańcuch, otworzyły się z jękiem sprzeciwu.

Wszedł do małego, ciemnego pomieszczenia, które bez wątpienia pełniło rolę kuchni.

Był tam kredens, prymitywny stół i wiadro wiejącej wody koło drzwi. W pokoju dziennym znajdował się stół i kilka krzesel. Stały te dwie szafy, a przed kamiennym kominkiem, na którym nierówno płonęła polana pogrócona w popiele, drewnianą podłogę pokrywał futrzak.

Przykucnął przy ogniu, wysuwając do niego rękę, ale chłodny powiew dotknął mu policzka. Rozległ się cichy głos:

- Tylko spokojnie. Rękę na kark i nie próbuj żadnych głupstw.

Wyprostował się powoli. Usłyszał kroki i twarda lufa pchnęła go w plecy. Czyja dłoń sięgnęła po rękę, a przy jego pasie. Zrobił obrót w prawo, schodząc z linii strzału. Gdy zderzyli się i cięko padli na podłogę, rozległ się krzyk przerażenia. Chavasse uniósł prawe ramię, by i opuszczeniem dłoni w morderczym ciosie karate, tak zabójczy jak topór drwala.

Powstrzymał się. Jego przeciwnikiem była młoda dziewczyna, może dziesiętnasto- czy dwudziestoletnia, z pewnościami nie starsza. Była ubrana w ciemną, nieprzemakalną kurtkę myliwską, sztruksowe spodnie i wysokie, skórzane buty. Miała

ciemne włosy po chłopięco krótko przycięte, nuda skór, wystające kości policzkowe i ciemnobrzozy oczy. Nie była piękna, ale nawet w tłumie nie przeszłaby niezauważona.

- Ale wydarzenie - powiedział cicho i usiadł. Przez chwilę leżała z oczami rozszerzonymi zdumieniem, a potem błyskawicznie zerwała się jak kot na nogi ze sztucerkami w rękach.

Stanęła nad nim na rozstawionych nogach, z lufą skierowaną bez drgania w jego pierś. Chavasse czekał. Lufa poruszyła się niezdeterminowanie i powoli opuściła. Dziewczyna oparła sztucerkę o stół i przyjrzała mu się ciekawie. Zauważyła jego nagie stopy i przyklejone do ciała koszulki i spodnie.

Kiwnęła głową.

- Uciekasz, prawda? Skąd? Z ciemnych robót w Tamie?

Potrzebujesz głowę.

- Zgadza się, licznik, uciekam, ale nie stamtąd. Zmarszczyła brwi i znów sięgnęła po broń.

- Nie jesteś gechem, to pewne. Mówisz jak tosk z wielkiego miasta.

Chavasse dobrze wiedział o wrogoci nadal panującej między dwiema głównymi grupami etnicznymi Albanii: gechami z północy kraju, lojalnymi wobec swoich rodzin i plemienia, oraz toskami z południa, skąd wywodził się komunizm.

Świat momenty, w których trzeba działać intuicyjnie, i to właśnie był jeden z nich. Twarz Chavasse'a rozjaśnił niezrównany, czarujący uśmiech, który należał do najcenniejszych jego umiejętności. Gdy sztucerkę znów skierował się na niego, podniósł rękę.

- Ani gech, ani tosk. Jestem cudzoziemcem.

Jej twarz wyrażała skrajne zdumienie.

- Cudzoziemiec? Skąd? Z Jugosławii?

Potrzebujesz głowę.

- Z Włoch.

Zaczęła rozumieć.

- Ach, przemytnik.

- Co w tym guście. Zaskoczyło nas wojsko. Udało mi się wydostać z zasadzki.

Myśli, że moich przyjaciół zabrali do Tamy.

Dziewczyna stała, nie spuszczała go z oka. Minęła zamyślenie, więc wykonał decydujący gest: wyciągnęła dłoń.

- Paul Chavasse.

- Francuz? - zapytała.

- I Anglik. Trochę jednego, trochę drugiego.

Podjęła decyzję; jej dłoń spotkała się z jego.

- Liri Kupa.

- Był wódz gechów nazwiskiem Abas Kupa, przywódca Legliti, partii

rojalistów.

- Głowa naszego klanu. Gdy komuni ci wymordowali wi kszo jego krewnych na tak zwanym spotkaniu przyja ni, uciekł do Włoch.

- Zabrzmiało to tak, jakby nie bardzo lubiła Hod i jego przyjaciół?

- Hod ?

Energicznie i celnie splun ła w ogie .

10

Pysk tygrysa

Chavasse stał na wiklinowej macie obok szerokiego łó ka i wycierał si r cznikiem, póki nie zaró owiła mu si skóra. Szybko naci gn ł ubranie, które dała mu Liri: sztruksowe spodnie, wełnian koszul w krat i si gaj ce do kolan skórzane buty, za du e o cały numer.

ci gn ł je z nóg i wło ył dodatkow par skarpet.

Ubranie nale ało niegdy do jej brata. Wzi ty do wojska gdy miał osiemna cie lat, został zabity w jednej z licznych potyczek patroli, które zdarzały si prawie codziennie na granicy jugosłowia skiej. Jej ojciec zgin ł, walcz c w szeregach partii rojalistycznej Legliteti, w górach, w ostatnim roku wojny. Od mierci matki mieszkała samotnie na bagnach, gdzie urodziła si i wychowała; yła z łowów na dzikie ptactwo.

Gdy wrócił do pokoju dziennego, siedziała skulona przy ogniu, mieszaj c co w zawieszonym na haku wielkim garnku. Odwróciła si i u miechn ła, odgarniaj c włosy z czoła.

- Teraz potrzeba ci tylko troch gor cego jedzenia.

Przysun ł krzesło do stołu, czuj c, jak kurczy mu si oł dek na widok gor cego gulaszu nalewanego na blaszany talerz. Nie trac c czasu na rozmow , wzi ł ły k i zacz ł je . Kiedy sko czył, nalała mu jeszcze. Wyprostował si z westchnieniem.

- Nie zrobiliby lepszego w londy skim Hiltonie.

Otworzyła butelk i napełniła szklank bezbarwnym płynem.

- Chciałabym pocz stowa ci kaw , ale w dzisiejszych czasach bardzo trudno j zdoby . To jest spirytus, który sami destylujemy. Dla nie przyzwyczajonych bardzo mocny, ale pod gwarancj zabezpiecza przed gor czk bagienn .

Płyn wybuchn ł w oł dku Chavasse'a i ogarn ł całe jego ciało gor cym płomieniem.

Zakaszlał kilka razy i łzy napłyn ły mu do oczu.

- Tego nie byliby w stanie poda nawet w londy skim Hiltonie.

Ostro nie otworzyła star blaszank i pocz stowała go papierosem. Był typu macedo skiego, z grubo ci tym, br zowym tytoniem, lu no nasypanym do gilzy, ale Chavasse wiedział, jak sobie z takimi radzi . Z całym wymaganym znanstwem skr cił jeden koniec, pochylił si nad stołem i przypalił od trzymanej przez dziewczyn drzazgi, wyci gni tej z ognia.

Drugiego papierosa zapaliła sama, wydmuchnęła kłęb gryz tego dymu i spokojnie o wiadczyła:

- Nie jeste przemytnikiem, to widz . Ani te marynarzem. Masz zbyt ładne dłonie.

- Wi c skłamałem.

- Musiałe mie ku temu wa ne powody.

Zmarszczywszy brwi przez chwil spoglądał w głąb swej szklanki, a potem zdecydował si i na całego.

- Słyszała o Matce Boskiej ze Skutari?

- O Czarnej Madonnie? Kto nie słyszał? Jej posąg zniknął jakie trzy miesi ce temu.

Panuje powszechna opinia, e ukradł go rz d centralny z Tirany. Byli zaniepokojeni, poniewa w ostatnich czasach ludzie znów zaczęli powraca do Ko ciola.

- Przybyłem tutaj w poszukiwaniu tej figury - powiedział Chavasse. - Miała jakoby znajdowa si na pokładzie szalupy motorowej, która zatoniła na jednej z lagun w ród bagien bli jej wybrze a. Moi przyjaciele i ja szukali my jej, gdy pojawili si wojskowi.

Opowiedział jej o Francesce Minetti przynajmniej tyle, ile powinna wiedzie , oraz o Guiliu Orsinim, Carlu i o Buona Esperanza. Gdy sko czył, powoli skin ła głow .

- Niedobra sprawa. Sigurmi wycisn ich do sucha, nawet twojego przyjaciela przemytnika. Maj swoje sposoby, i to niezbyt przyjemne. Przykro mi z powodu dziewczyny.

Bóg jeden wie, co z ni zrobi .

- Zastanawiałem si , czy b dzie mo liwe dosta si do Tamy - powiedział Chavasse. - Mo e odkryj , co si z nimi stało?

Popatrzyła na niego ostro z powa n min .

- Mamy takie przysłowie: Tylko głupiec wsadza głow w pysk tygrysa.

- B d przeszukiwali bagna w kierunku wybrze a. Ta oczywiste. Kto b dzie mnie szukał w Tamie?

- Dobry argument. - Wstała i popatrzyła w ogie , oparłszy dło na kamiennej półce nad kominkiem. Odwróciła si do Chavasse'a. - Jest tylko jeden człowiek, który mo e potrafi ci pomóc, franciszkanin, ojciec Shedu. Podczas wojny był słynnym bojownikiem ruchu oporu w górach, legend tego okresu. Nie byłoby rozs dne arestowa czy rozstrzela takiego człowieka. Zadowolaj si wi c obrzydzeniem mu ycia, oczywi cie zawsze z najwi ksz uprzejmo ci . Dawno go tu nie było. Około paru miesi cy. My l , e ostatniego z m czyn ju zabrano.

- I łatwo potrafi sobie wyobrazi , co si z nim stało - odparł Chavasse. - Ten ojciec Shedu jest teraz w Tamie?

- Na krawcu miasta jest redniowieczny klasztor. Władze u ywaj go jako

siedziby lokalnego dowództwa wojskowego. Kościół katolicki zmieniono w restaurację, ale tu nad wodę stoi stara kaplica klasztorna. Ojciec Shedu odprawia w niej nabożeństwo.

- Czy trudno będzie tam dotrzeć ?

- Słuchaj - Wzruszyła ramionami. - Nie dłużej niż w pół godziny. Mam łódź z silnikiem.

Niebył pewny, ale potrafił się jej przedstawić.

- Czy mógłbyś pomóc ?

- O, nie. - Potrzebna są głowy. - Złapaliby cię, nim przebyłbyś rzekę jeden kilometr.

Ja znam ukryte przesmyki, ty nie.

Zza drzwi wyciągnęła ceratowy kurtkę i rzuciła mu wraz z czapką z daszkiem.

- Włóż to.

Wzięła swój sztucer i przez frontowe drzwi poprowadziła go w dół, do rzeki. Przy drewnianym pomostku nadal nie było widać łodzi. Minęła go i przedarłszy się przez gęste podszycie, wyszła na niewielki, oczyszczony z roślinności odcinek brzegu, opadający wprost do wody. Jej łódź, płaskodenna krypa bagienna ze starym silnikiem przyczepionym do rufy, była przywiązana do drzewa.

Gdy zajęła się silnikiem, Chavasse odczepił cum, a kiedy motor zaskoczył, wpełznął kryjąc się w otaczające to miejsce trzciny i wsiadł.

Liri Kupa pewno ci wiedziała, co robi. W jednym z miejsc na trasie trafili na bystrze, gdzie rzeka wiała się w ród piaszczystych ławic i przelewała przez wyszczerbione kamienie, ale Liri sterowała kruchym łódką jak do wiadczonego eglarza, wychylając rumpel dokładnie wtedy, gdy było trzeba, by mogli umknąć niebezpieczeństwu.

Po niedługim czasie opuścili Bun i skierowali się w wski strumyk, biegnący krótko przez wielkie, zastępe bagnisko, rozplywające się w setki lagun i kanalików.

Gdy wreszcie znów powrócili na rzekę, znaleźli się po zawietrznej dużej wyspy. Od brzegu do brzegu mgła wisiała jak szara kurtyna, a gdy wysunęli się spod osłony wyspy, by przebyć nurt w poprzek, Chavasse poczuł dym i usłyszał szczekanie gdzieś psa.

Z mgły wynurzyły się pierwsze domy, rozrzucone wzdłuż brzegu. Liri skierowała barkę tuż koło nich. Z kieszeni wydobyła blaszane pudełko z papierosami i cisnęła jednego Chavasse'owi.

- Lepiej zapal sobie. Postaraj się, jak u siebie w domu.

- W domu nigdy nie było tak jak tu.

Zapalił, oparł się plecami o rufę i patrzył na stopniowo ukazujące się miasto. Obecnie było tu niewiele więcej niż pięćset mieszkańców, to wiedział. Od chwili gdy zimna wojna między Jugosławią i Albanią zrobiła się gorętsza, ruch na rzece prawie zamarł, a Buna była teraz tak zamulona, że stała się nieeglowna dla jakichkolwiek statków.

Z mgły wychylił się klasztor - ogromna, rozsiadła, redniowieczna budowla z sypcami murami, położona o parę set metrów od brzegu.

Flaga alba sk, zwisająca bezwładnie w deszczu, uniósł podmuch wiatru, ukazując czerwony gwiazd na tle czarnego, dwugłowego orła. Dała się słysze przyciszona trąbka.

Nieco dalej wzdłuż brzegu pracowało czterdziestu czy pięćdziesięciu wiośniów.

Niektórzy z nich, wbijając pale pod nowe molo, byli zanurzeni w wodzie do pasa. Chavasse dostrzegł, że ci na brzegu mają kostki nóg skute ła cuchaem.

- Polityczni - wyjechała krótko Liri. - Przysyłają ich tu z całego kraju. Gdy nadchodzi upał, nie przeżyją długo w bagnie.

Skręcając rumpel, prowadząc bark w stronę brzegu i małej, zrujnowanej kaplicy, której rozpadające się mury sięgały samej rzeki. U ich stóp widniało wejście do wskiego tunelu.

Liri tam skierowała łód.

Do sklepienia było około dwóch metrów. Chavasse sięgnął dłoni i dotknął zimnego, mokrego muru, wysiłając wzrok w mroku, który nagle znacznie pojaśniał. Liri zgasiła silnik, a barka rozpadem podpłynęła do przystani, zbudowanej z wielkich bloków obrobionego kamienia.

Łód zachrobotła o kamienne schody, a Chavasse przywił do elaznego pierścienia i pomógł Liri wysiść. Skąd z góry syczało się wiatło. Dziewczyna uśmiechnęła się w półmroku.

- Niedługo wrócę.

Weszła po schodach, a Chavasse zapalił kolejnego papierosa, usiadł na skraju przystani i czekał. Nie było jej przez przynajmniej pięćnaście minut. Gdy pojawiła się znowu, nie zeszła po schodach, lecz wezwała go na górę.

Podszedł do niej szybko, a Liri otworzyła wielkie, dębowe drzwi i poprowadziła go w skim korytarzem. Na jego kocu otworzyła następną i razem weszli do wnętrza małej kaplicy.

Wiatła były bardzo przytłumione, a niżej, koło ołtarza, migotały wiece, zalewając blaskiem Matkę Boską. Zapach kadzidła był tak mocny, że Chavasse poczuł lekki zawrót głowy. Od dawna nie był w kościele, od zbyt dawna, co matka nieustannie mu przypominała, więc uśmiechnęła się kwaśno, idąc z Liri przez naw.

Ojciec Shedu modlił się, klęcząc przed ołtarzem; był odziany w brązowy habit, jeszcze ciemniejszy w świetle wiec. Oczy miał zamknięte, na pobrudzonej twarzy malował się całkowity spokój, a brzydko sfalderowana blizna po starej ranie od kuli, zniekształcając jego lewe oko, wydawała się całkiem na miejscu.

Był człowiekiem mocnym swym wiarą i pewnym swej wiedzy o tym, co ma najwyższą wagę. Ludzie tacy jak Enwer Hod a i Adem Kapo mogli przychodzić i odchodzić, aby w kocu rozbić się o skałę, którą był ojciec Shedu.

Przebiegnął się, płynnym ruchem wstał i zwrócił się twarzą do nich. Pod

badawczym spojrzeniem jego jedyne go oka Chavasse poczuł si ę nagle nieswojo. Przez chwil ę znowu był małym chłopcem w wiosce swego dziadka w Finistere, tu po wyzwoleniu Francji; stał przed starym, nieubłaganym proboszczem, próbuj ąc usprawiedliwi ć sw ą nieobecno ść na mszy i czuj ąc, ę j ęzyk wysechł mu w ustach.

Ojciec Shedu uśmiechn ął si ę i wyci ągn ął dło ę .

- Ciesz si ę , ę ci spotkałem, synu. Liri powiedziała mi pokrótce, po co tu przybył.

Chavasse uśmiechn ął mu r ę k ę , czuj ąc ogromn ą ulg ę .

- Ona przypuszczała, ojczyste, ę mo ę sz dopomóc.

- Wiem co o tym, co si ę wydarzyło z posłaniem Matki Boskiej ze Skutari - powiedział kapłan. - To mój poprzednik, ojciec Kupescu, oddał j ą pod opiek ę młodego człowieka, który pó niej został zabity na bagnach. Mogłoby doda ć, ę ojciec Kupescu zapłacił j ą cieniem za swój czyn.

- Dziewczyna, która mi towarzyszyła, jest siostr ą owego młodego człowieka - odrzekł Chavasse. - Ona wła śnie skierowała nas na miejsce, gdzie znalazła si ę szalupa Minettiego.

Ojciec Shedu kiwn ął głow ę .

- Ona oraz Włoch nazwiskiem Orsini zostali przywiezieni do Tamy dzisiejszego wieczoru. Zabrano ich do klasztoru.

- Jest ojciec pewien?

- Odwiedzałem w tym czasie chorych wię śniów. To jeden z przywilejów, na których zachowanie nadal nalegam.

- Jestem zdumiony, ę w ogóle pozwalaj ą ojcu działać.

Zakonnik uśmiechn ął si ę słabo.

- Jak mo ę zauwa żyć, nosz ą takie samo nazwisko jak nasz ukochany prezydent, a z tego powodu przeci ętny członek partii darzy mnie zabobonnym l ękiem. Nie zdobyli nigdy pewno ścią, czy nie jestem jakim ę jego pociotkiem, uważasz. Oczywiście, są rzeczy, które mog ą zrobić. Mieli my tu przełiczn ą, stary kościół. Teraz to restauracja. Ustawiaj ą ołtarz jako kontuar, a nawa jest zapchana stolikami, przy których siedzi robotnicy mog ą konsumowa ć kebab i szaszłyki ku wi ększej chwale Enwera Hody.

- Wszystko w swoim czasie, ojczyste - powiedział Chavasse.

Zakonnik uśmiechn ął si ę .

- Tak si ę składa, ę rzeczywi ście mog ą ci pomóc, panie Chavasse. Twoi przyjaciele są uwięzieni w tej chwili w tylnej wartowni, która jest wbudowana w wewnętrzn ą część klasztoru. Pewien pułkownik wywiadu oraz wysokiej rangi oficer Sigurmi nazwiskiem Kapo, którzy ich tu przywieźli, niemal natychmiast opuścili to miejsce, zabieraj ąc wszystkich wolnych ęlnierzy, na których natrafili.

- Pojechali mnie szukać.

- Oczywiście. Nie przypuszczam, ęby na służbie w wartowni znajdowało si ę więcej ni ę jeden, mo ę ę dwóch ludzi.

- Ale jak przedostaniemy się do rodka, ojciec? - zapytała Liri. - Mamy do przebycia dwie ściany i wartowników przy każdej bramie.

- Dołom, moja droga. To naprawdę całkiem proste. Zaczni ojcowie, którzy zbudowali ten klasztor, pomyśleli o wszystkim. Chodźcie ze mną.

Wyprowadził ich z kaplicy i z powrotem korytarzem, wiodącym w dół do przystani. Z półki, na której stała ikona, wziął latarkę elektryczną i zszedł nad sam brzeg wody. Gdy włączył latarkę, jej promień odbił się od surowych ścian tunelu, który biegł w ciemność, zwracając się znacznie.

- Teraz przechodzi podziemny system kanalizacyjny klasztoru, by opróżnić zawartość do rzeki - powiedział. - Niezbyt to przyjemna droga, obawiam się, ale zaprowadzi was niezauważonych przez nikogo do wnętrza klasztoru.

- Wskaż mi drogę, ojciec, proszę tylko o to - powiedział Chavasse. - Resztę możesz zostawić mi.

- Wymagam od ciebie, abyś nie używał przemocy przeciw ludziom posługującym ci się gwałtem, byłoby absurdem - stwierdził ojciec Sfhedu. - Ale musisz zrozumieć, że ja nie mogę wziąć udziału w tego rodzaju czynach. Akceptujesz to?

- Chętnie.

Kapłan zwrócił się do Liri.

- Zostaniesz tutaj, dziecko?

Pokręciła głową.

- Może będzie ze mnie jakiś pożytek. Proszę, ojciec. Wiem, co robię.

Nie próbował sprzeczać się, a tylko zatknął swój długi habit za skórzany pas i wszedł do wody po lewej stronie tunelu. Było tam głębooko zaledwie po kostki. Chavasse poszedł za nim po wężkiej półce, schylając głowę, gdy sklepienie obniżało się w miarę, jak się posuwali.

Panował mocny, ziemisty zapach, a lekka mgiełka wiła się pod wilgotnym sufitem.

Tunel cięgnął się w ciemności i stopniowo woda stawała się głębsza, a poczuli, że wiruje wokół ich kolan.

Teraz smród był już przeraźliwy. Chavasse brnął przed siebie, czując jak ogarniają go nudności. Wreszcie zakonnik skręcił w boczny odnog, która zaprowadziła ich do jaskini, mającej około piętnastu metrów średnicy.

Byli zanurzeni na jakiś metr w mierzwi wodzie, do której prowadziło przynajmniej tuzin tuneli. Franciszkanin brodząc przebył jaskinię i zaczął liczyć od lewej.

- Słuchaj, że ten ósmy będzie włączył ciwy.

Tunel miał niewiele ponad metr wysoko. Chavasse trzymał się u wylotu i wyciągnął rękę do Liri.

- Dobrze się czujesz?

Zachichotała.

- wietnie. W lecie bagno miedzi gorzej ni to tutaj.

Schylili si oboje i pod yli za ojcem Shedu, który ju wyprzedzał ich o kilka metrów.

W par chwil pó niej zatrzymał si . wiatło przegl dało przez co w rodzaju kraty, a krótki tunel biegł skosem pod gór a na powierzchni .

- Je li si nie myl - o wiadczył ksi dz - powinni my by w jednej z cel starego klasztoru, za placem, na którym znajduje si wartownia.

Tunel miał dobre pi tna cie metrów długo ci, kamienny mur był gładki i liski, co utrudniało wspinaczk . Zakonnik poszedł pierwszy, Liri za nim, a Chavasse zamykał tyły.

Pchał si mi dzy blisko stoj cymi cianami, posuwaj c si mozolnie do góry. Raz Liri po lizgn ła si , spadaj c na niego, ale udało mu si j utrzyma i szli dalej.

Nad nimi ojciec Shedu był ju u wyj cia - du ej płyty, wyrze bionej przez jakiego mistrza kamieniarstwa w kształcie kraty. Nacisn ł j ramieniem i odsun ła si bez trudu.

Wydostał si na wierzch i odwrócił si , by pomóc Liri.

Chavasse wdrapał si za nimi i znalazł si w niewielkiej, rozsypuj cej si celi z pozbawionym drzwi wyj ciem, otwartym na zrujnowany kru ganek, którego połamane kolumny wskazywały niebo, a trawa rosła mi dzy ogromnymi, potrzaskanymi kamiennymi płytami.

- Przejd przez kru ganek, a znajdziesz si na dziedzi cu - powiedział ojciec Shedu. - Wartownia to mały budynek z cegły i betonu, z płaskim dachem. - U miechn ł si leciutko. - Od tej chwili mo esz liczy tylko na siebie. Wi cej nie mog dla ciebie zrobi . Jak ju powiedziałem, nie mog wzi udziału w tej sprawie. Poczekam tutaj. - Zwrócił si do Liri: - Zostaniesz ze mn ?

Potrz sn ła przecz co głów .

- By mo e b d mogła pomóc.

- Ojciec Shedu ma słuszno - zaprotestował Chavasse. - Zostajesz tutaj.

- Je li chcesz mojej broni, to bierzesz i mnie. - Poklepała kolb starego sztucera my liwskiego. - To moje ostatnie słowo.

Chavasse spojrział na ksi dza, który ci ko westchn ł.

- elazna wola, obawiam si . I nienawidzi czerwonych.

Chavasse zwrócił si do Liri.

- Mo esz pój tylko do skraju dziedzi ca. B dziesz stamt d obserwowala wszystko, gdy wejd do rodka. Je li co pójdzie nie tak, masz natychmiast si wycofa , doł czy do ojca Shedu i znikn . Zgoda?

Przez zrujnowany podwórzec i przez kru ganki przedostał si do wal cej si ciany po przeciwnej stronie. Przed nim le ał dziedziniec, cichy i spokojny. Wartowni zbudowano przy murze, w połowie drogi, dokładnie tak, jak to opisał zakonnik. Trudno było podej do niej od frontu. Wielka, dwuskrzydłowa brama po przeciwnej stronie

była zamknięta.

- Ty tu zostajesz - powiedział Chavasse do Liri. - Ja przełiznę się wzdłuż ciany na drugą stronę wartowni, gdzie nie ma okien. Jeśli cokolwiek się zdarzy, zmywaj się stąd szybko i wracaj do ojca Shedu. - Zaczęła protestować, ale zdecydowanym ruchem wyciągnął sztucer z jej ręką. - Teraz bądź grzeczna dziewczynką i rób, co ci powiedziano.

Posuwał się wzdłuż zniszczonego muru do miejsca, gdzie był czuły z drugim, po czym wyszedł na otwarte przestrzenie i pobiegł chyłkiem, a dotarł do rogu wartowni.

Zatrzymał się, czując jak kosała nasikała mu potem i znów ruszył przed siebie. W tym momencie drzwi otwarły się i ktoś wyszedł na dwór.

Chavasse usłyszał głosy dwóch rozmawiających mężczyzn. Jeden z nich zażądał od niego, zapalono zapalniczkę. Chavasse był w pułapce, nie miał już dokąd pójść. Jeśli któryś zrobi choć krok w stronę rogu budynku, odkryje go z pewnością.

Wesoły, młody głos zawołał:

- Hej, ty tam? Tak, ty, bawole. Chodź tutaj!

Liri Kupa swobodnym krokiem szła przez dziedziniec i z rękami w kieszeniach.

Oczywiście, próbowała w ten sposób zwrócić na siebie uwagę wartowników i to jej udało znakomicie. Gdy Chavasse posunął się wzdłuż boku budynku, dwaj żołnierze ruszyli w stronę Liri.

Nawet nie mieli broni, a jeden z nich był nagi do pasa, jakby wcale nie się mył.

Chavasse podbiegł, podniósł sztucer i trzasnął nim mocno w obnażony szyj. Kiedy żołnierz padł z jękiem, drugi obrócił się w miejscu. Chavasse wymierzył mu pełen nienawiści cios łufą w brzuch. Żołnierz wydał zduszony okrzyk i zwałił się na ziemi, a kolba zmiażdżyła mu czaszkę.

Chavasse już szedł w kierunku drzwi wartowni, gdy podbiegła do niego zarumieniona Liri.

- Nie może być ich tu więcej. Wyszliby na dwór, gdy zawołałam.

- Miejmy nadzieję, że masz rację.

W przedsionku panował spokój, tylko na biurku papiery fruwały poruszane wiatrem, wiejącym przez otwarte wejście. Klucze wisiały na tablicy na przeciwległej ścianie. Chavasse zrobił kilka szybkich kroków i otworzył drzwi wewnętrzne. Za nimi było tylko sześć cel. W czterech pierwszych panowała pustka. Giulio Orsini znajdował się w piątej, wyciągnął ją na woskowej pryczy z rękami pod głową.

- No i co, ty stary draniu? - spytał uprzejmie Chavasse.

Włoch usiadł ze zdumioną miną. Skoczył na nogi i podbiegł do kraty.

- Paul, na wszystko co wiacie! Zajmujesz się obecnie sprawianiem cudów?

- Proście, a będzie wam dane - odrzekł Chavasse. Nigdy nie można przewidzieć, jak trafny okaże się ten cytat Gdzie Francesca?

- Obok. Siedzimy tu cały czas. Kapo znów wybiegł, jakby mu się pieszyło. Zapewne w pogoni za tobą.

- Nie miał szczęścia.

Liri stan ła obok z kluczami w r ce. Gdy uwalniała Orsiniego, Chavasse ju był przy nast pnej kracie. Francesca Minetti z twarz biał jak opłatek wpatrywała si w niego szeroko otwartymi oczami.

- Wiedziałam, e przyjdiesz, Paul.

Wzi ł od Liri klucze i otworzył cel . Francesca padła mu w ramiona. Trzymał j przez chwil przytulon , a potem odsun ł.

- Musimy rusza .

Orsini ju ich wyprzedził, pod aj c za Liri. Chavasse podniósł sztucer i popchn ł Francesc wzdłu korytarza. Włoch zatrzymał si w wyj ciu i wyjrzał na dziedziniec.

- Wygl da do spokojnie.

Wycie syreny, rozlegaj ce si niespodziewanie w nieruchomym powietrzu było jak fizyczny cios, przyt piał cy zmysły. Chavasse zrobił w tył zwrot i ujrzał Francesc w drugim ko cu pomieszczenia. Otworzyła ma ł metalow skrzynk na cianie i z całej siły naciskała kciukiem czerwony guzik.

Odcign ł j tak gwałtownie, e potkn ła si o stół.

- W co ty u diabła grasz?

Plun ła mu w twarz i ostro uderzyła w lewy policzek.

Odruchowo oddał jej cios zaci ni t pi ci i dziewczyna zwała si na podłog .

Le ała cicho j cz c, a Orsini chwycił Chavasse'a za r kaw i odwrócił ku sobie.

- Na lito bosk , co tu si dzieje?

Pojedynczy strzał odbił si echem na dziedzi cu, pocisk roztrzaskał odrzwia. Orsini dał nura na podłog , poci gaj c ze sob Liri. Chavasse wyjrzał przez okno i zobaczył jakie poruszenie na murze nad wielk bram . Po nast pnym strzale karabinowym rozległ si po pieszny stukot pistoletu maszynowego i linia padaj cych pocisków wyrzuciła w powietrze chmur kurzu jak br zow zasłon .

Chavasse wywalił okno kolb sztucera, wycelował i strzelił. Dał si słysze słaby krzyk, a przez parapet muru przewalił si ólnierz i spadł na dziedziniec, nie wypuszczaj c karabinu z r k.

Jeden z dwóch le cych na dziedzi cu wartowników uniósł si na kolana z ogłupiał min . Chavasse przestrzelił mu głow i dał nura, gdy pozostali ólnierze zacz li skupia ogie na oknie.

Przysun ł si do wyj cia z wartowni i przysiadł koło Orsiniego i dziewczyny.

- Teraz jest ich w górze z pół tuzina, a jeszcze wi cej w drodze. ci gn ich ogie na siebie. To mo e by szansa dla ciebie i Liri. Ona zna drog . Rób dokładnie to, co ci powie.

Orsini otworzył usta, by zaprotestowa , ale Chavasse ju wybiegł na dziedziniec.

Rzucił si na ziemi obok ciała zabitego przez siebie wartownika, wycelował i zacz ł strzela do ludzi na murze.

Za jego plecami Orsini z dziewczyn wynurzyli si z wartowni i porwali do

biegu.

Dokładnie w tym samym momencie wielka dwuskrzydłowa brama po przeciwnej stronie dziedzińca rozwarła się. Zawył włączony silnik i do rodka z rykiem wtoczył się w chmurze pyłu dżip. W jego tylnej części był zamontowany na obrotowej lawecie lekki karabin maszynowy, który pułkownik Tashko poruszył małym łukiem, a linia pocisków wzbijała fontannę kurzu koło Orsiniego i dziewczyny, zmuszając ich do zatrzymania się z rękami w górze.

Chavasse, czując jak mu zamiera serce, zobaczył, że przez bramę wchodzi oddział żołnierzy z karabinami przygotowanymi do strzału. W tej samej chwili dżip zahamował z poślizgiem, odwracając się bokiem. Francesca, słaniając się na nogach, przeszła obok i podeszła do samochodu. Chavasse zerwał się na nogi i strzelił z biodra, biegnąc ze sztucerem w rękach.

Jego pierwszy pocisk wbił kurzutobok niej i wtedy co go rbiło w lewe ramię, wytrącając broń. Skulił się jak zwierzę, dłonie przyciskając ranę, a krew popłynęła mu między palcami. W nagłej ciszy usłyszał skrzypienie ziemi pod jego butami.

Gdy podniósł wzrok, Adem Kapo patrzył na niego z góry z lekkim uśmiechem na małych ustach.

11

Sytuacja się wyjaśnia

Przez osadzone w oknie pręty wpadał niesiony wiatrem deszcz. Chavasse podciągnął się i nad murami klasztoru popatrzył na rzekę. Natychmiast poczuł ból w lewym ramieniu, zaklął i puścił kratę.

Pocisk przeszedł gładko; była to zwykła rana miotłowa, a jedynym leczeniem, jakie otrzymał, było niedbałe jej zabandażowanie. Znajdowali się w jakimś magazynie na drugim piętrze głównego budynku. Liri Kupa spała w kacie z kocem naciągającym na ramiona.

Orsini przyklękł przy niej, by wygładzić koc. Gdy wstał, miał dziwną minę.

- Wspaniała dziewczyna. Szkoda, że zaplądła się w coś podobnego.

- Już ci mówiłem, że miała tego nie robić. - Chavasse podszedł do drzwi i spojrzał przez kratę na stojącego tam wartownika. - Boże, jaki ze mnie głupiec. Wszystko było jasne jak słońce, a ja tego nie dostrzegłem.

- Francesca? - Orsini potrząsnął głową. - Nadal nie mogę w to uwierzyć.

- Powiedziała, że Madonna znajduje się w kabinie dziobowej, ale jej tam nie było; na dodatek musieliśmy zastosować materiał wybuchowy, by dostać się do rodka. I jak ci się to podoba? - Kopnął z wściekłością drewnianą ławkę. - Mała suka. Ta noc przed Tabu, gdy ją napadli... musieli czekać na mnie, by dać to przedstawienie. Wszystko upozorowano na moją cześć.

- Ale dlaczego? - zapytał Orsini. - To nie ma sensu. I co się stało z Madonną?

- Tego jednego chciałbym się dowiedzieć. Ta czy historyjki była całkiem autentyczna - potwierdził jej ojciec Shedu. Przynajmniej możemy się cieszyć, że go nie schwytali.

W zamku zazgrzytał klucz, drzwi się otworzyły. Liri obudziła się i z trudem podniosła na nogi, gdy do pokoju weszło dwóch żołnierzy, a za nimi Tashko. Obejrzał dziewczynę i uśmiechnął się.

- Przyjdź do mnie szybko.

Plunął mu w twarz, a on wychylił się i szybko chwycił ją za ramię. Gdy Orsini i Chavasse ruszyli naprzód, żołnierze zagrozili im wycelowanymi pistoletami maszynowymi.

Twą Tashka była zupełnie bez wyrazu w chwili, gdy doskonale wiedziała co robi, przycisnęła jej nerw do kciuka. Liri otworzyła usta w bezgłośnie krzyku i zwała się na podłogę.

Zwrócił się do Chavasse'a, poprawiając rękawiczki.

- Karate, przyjacielu. Może o nim słyszałeś? Miał wielkie szczęście z tamtą butelką wódki. Następnym razem szczęście będzie po mojej stronie, to mogę ci obiecać.

Kiwnął głową, a jeden z żołnierzy chwycił Chavasse'a za ramię i wychylił na zewnątrz. Zanim drzwi zamknęły, zdążył jeszcze zauważyć, jak Orsini przyklęka na jedno kolano koło dziewczyny.

Poprowadzili go szerokim, wyłożonym kamiennymi płytami korytarzem, a potem do góry w skromnymi schodami. Na ich szczycie Tashko otworzył drzwi i znaleźli się w komfortowo umeblowanym biurze.

Za biurkiem siedział Adem Kapo, czytając jakieś papiery. Podniósł wzrok i na jego twarzy pojawił się uśmiech.

- Nigdy się pan nie domyślił, jaka to wielka przyjemność. Od tej małej awanturki w zeszłym tygodniu niezwykle nam zależało, by dostał się pan w nasze ręce.

- Sigurmi?

Kapo skinął głową.

- włoska przykrywką jest tylko jednym z moich licznych wcieleni; jestem pewien, że pan to doceni.

- Och, z pewnościami - odrzekł Chavasse. - Ale może mógłbym usłyszeć parę wyjaśnień? Tak dla rozrywki.

- Ale oczywiście. - Kapo uśmiechnął się jowialnie. - Zakładam, że w ten sposób ujawnia się pana angielskie pochodzenie?

- Ta sprawa w Matano? Czy to było tylko przedstawienie? Nie było żadnego Ramiza?

adnego Marca Minettiego?

- Ramiz to zaledwie odrobina krwi na podłodze i duża łapówka dla młodej kobiety, mieszkającej po drugiej stronie korytarza, dokładnie naprzeciwko jego pokoju. Minetti był tworem wyobraźni.

- To wyjaśnij, czemu Francesca tak nalegała, bym nie ujawniał bazie S2 w Rzymie tych jej informacji.

Kapo kiwnął głową.

- Historyjka była całkiem autentyczna. Przedstawienie dał nader szlachetny młody Włoch nazwiskiem Carveggio, i który spróbował tego samego sposobu i za swe trudy zarobił odstrzeloną głowę.

- A posłóg?

- Wydobyli my go z wraka prawie natychmiast. Skinął głową do Tashka, który podszedł do szafy, otworzył ją i wyciągnął niekształtny pakunek. Odwinął szary koc i postawił posłoga na biurku.

Madonna miała ponad metr wysoko ci; była wyrzeźbiona z jednego kawałka hebanu, a płaszcz miała inkrustowany złotem. Jej twarz wyrażała cudowną łagodność i spokój.

Najwspanialsze osiągnięcia jakiego wielkiego artysty.

- Zgoda - powiedział Chavasse. - Jeśli idzie o istotne szczegóły, opowie przekazana mi przez Francese Minetti była prawdziwa i osiągnęła cel - sprowadziła mnie na powrót do Albanii. Co oznacza, że zadali ci sobie cholernie wielki trud. Dlaczego?

Kapo wybrał papierosa z leżących w drewnianej szkatułce na biurku i rozparł się wygodnie w fotelu.

- Jak zapewne panu wiadomo, stosunki między moim biednym krajem i ZSRR oraz jego satelitami w ostatnich latach nieco się pogorszyły. Tylko jeden przyjaciel przyszedł na pomoc w naszych kłopotach - Chiny.

- Jak je wzruszają?

- Zapewniam pana, że jesteśmy sentymentalnym narodem. Płacimy swoje długi.

Raport z naszego wydziału kontrwywiadu, zawierający informacje, że zamierza pan odwiedzić Albanię jako członek grupy wycieczkowej włoskich robotników, został przekazany do sztabu chińskiego wywiadu w Tiranie przez zwykłego urzędnika. Wyrazili wielkie zainteresowanie. Zdaje się, że doznali od pana jakiegoś uszczerbku w zeszłym roku w Tybecie. Jak rozumiem, dotyczyło to niejakiego doktora Haffnera. Obiecali my, że im pana przekażemy.

- I wtedy wymknęłam się wam.

- Ale zgodzi się pan, że nie na długo, i to tylko dzięki jednej osobie. Niezwykle uzdolnionej pracownicy wydziału kontrwywiadu Sigurmi. Może chce się pan z nią spotkać?

Weszła, gdy tylko Tashko otworzył drzwi. Nadal miała na sobie to samo ubranie, w którym była na łodzi, ale wyglądała inaczej: na twardsz, bardziej pewnie siebie.

- Dlaczego, Francesco, dlaczego? - zapytał.

- Jestem nie mniej Albankiniem niż Włoszką - powiedziała spokojnie. - Nie mogę na siedzenie na dwóch stołkach. Ja moje miejsce na wiecie wybrałam dawno temu.

- Chcesz powiedzieć, że pracowała dla drugiej strony od chwili zatrudnienia w S2?

- A jak myślisz, jak inaczej nasi ludzie mogli dowiedzieć się o twoim przybyciu?

Ostrzeżenie radiowe ze Skutari przekazałam tylko dlatego, że nadeszło w obecności oficera na nocnym dyżurze.

Chavasse odczuł to jak kopnięcie w brzuch. W samym sercu roboty, z dostępem do najtajniejszych spraw, od dwóch lat znajdował się ktoś z przeciwnej strony, kto przekazuje informacje, dla których zdobycia ludzie mierzli się i ginęli, może nawet ktoś wysyłał ich na śmierć.

Coś z tych myśli musiało odbić się na jego twarzy, bo Francesca uśmiechnęła się lekko.

- O tak, Paul, dokonałam wielkich rzeczy. Pamiętasz Matta Sorleya i tego Francuza, Dumonta? Jeden z nich długo nie pozwolił, ja tego dopilnowałam. I byli jeszcze inni.

- Ty parszywa sukco.

- Zabije cię mój mąż, Paul - powiedziała spokojnym tonem, ale w jej oczach płonęła zimna nienawiść.

- Twój mąż? - Zmarszczył lekko brwi i potrząsnął głową. - Nie wiem, o czym mówisz. Zresztą widziałem twoje akta personalne. Nie było tam żadnej wzmianki o małżeństwie.

- Nie trudno to ukryć, gdy na tym komuś bardzo zależy. Nazywał się Enrico Noci.

Utopiło go jak szczura w sieci na ryby. Żadnych ładów, żadnej przemocy. Po prostu wypadek.

- A muszę przyznać, że było to z pańskiej strony cholernie pomysłowe - wtrącił Kapo.

Jasne stało się, że nie ma już nic więcej do powiedzenia, więc Chavasse odwrócił się od niej do małego człowieczka.

- Co będzie teraz? Szybki odlot do Pekinu?

- Nie ma po piechu. - Kapo roześmiał się. - Mamy przed sobą nadto czasu, a ile jeszcze może mi pan opowiedzieć. Na przykład, jakim u licha sposobem udało się panu przedostać do klasztoru. Oczywiście, na tym polegał pomysł - że się pan tu pokaże. Byliśmy całkiem pewni, że człowiek o pańskiej pomysłowości i energii nie porzuci swoich przyjaciół w biedzie, ale jeśli mam być absolutnie uczciwy, to pańska materializacja tutaj z jasnego nieba, to było nawet więcej, niż przypuszczałem.

- Trik, którego nauczyłem się od starego fakira w Indiach całe lata temu.

- Fascynujące. Może mi pan o tym opowiedzieć, gdy wrócę. Jeśli pan nie zechce, jestem przekonany, że Tashko zdoła przekonać młodą panią, którą znalazł pan podczas swoich podróży, aby była chętniejsza do współpracy.

Chavasse zignorował zawołanie grob i spokojnie wziął sobie papierosa ze szkatułki na biurku.

- Jedź pan gdzie ?

- Czy nie wyją nilem tego? - Kapo wyjął drugiego papierosa, zapalił go i rzucił zapalki Chavasse'owi. Zachowywali się tak, jakby byli dobrymi przyjaciółmi, ciesząc się z miłej rozmowy. - To naprawdę bardzo pomysłowe, choć to ja o tym mówię. W tej chwili paski młody przyjaciel Arezzi siedzi na Buona Esperanza, oczekując waszego powrotu.

To było całkiem bez sensu. Chavasse nie zdołał opanować lekkiego grymasu, a Kapo uśmiechnął się.

- Dziś późną noc zawiozł Francese motorówkę na rozszedną odległość od waszej łodzi. W szarym wietle wiatu wypłynie ona z mgły na waszym pontonie, dodając przy tym, że w rozpaczliwym stanie.

- A do tego mając do opowiedzenia jeszcze bardziej rozpaczliwą historię.

- Ale oczywiście. U was w Słabid w najwyższym stopniu wytrącenia z równowagi, gdy usłyszeli, że stracili dzielnego Chavasse'a i jego przyjaciela Orsiniego.

- I myli pan, że bez żadnych pytań przywróci Francese do służyby? - Chavasse pokręcił głową. - Mój szef ma umysł jak kanał ciekawy. Sprawdzi każdy jej krok od chwili, gdy ukończyła sześciomiesięczycię.

- Nie byłbym tego taki pewien. - Kapo uśmiechnął się. - Widzi pan, ona będzie miała ze sobą Czarną Madonnę, a jaki to liczny argument propagandowy przeciw Albanii.

Wszyscy będą niezmiernie uradowani.

I miał rację. To było dobre. Cholernie dobre. Kapo rozejmiał się i skinął głową do Tashki.

- Zabierz go z powrotem do jego przyjaciół. Zajmij się nim, gdy wrócisz rano.

Chavasse odwrócił się twarzą do Franceski. Przez chwilę wytrzymała jego spojrzenie, lecz wkrótce odwróciła wzrok, a Tashko popchnął go do drzwi. Zeszli schodami, po czym wrócili korytarzem do magazynu.

Zanim do niego dotarli, Tashko przystanął, by zapalić długiego rosyjskiego papierosa.

Dwaj żołnierze trzymali się z szacunkiem o parę kroków dalej, wyraźnie bojąc się go miertelnie. Pułkownik popatrzył na Chavasse'a zimnym wzrokiem.

- Ten tam na górze lubi się przechwalać, ale ja mam inne podejście. Wkrótce przekonasz się o tym.

- A może byś tak zmył? - zapytał spokojnie Chavasse.

Zimne oczy Tashki zapłonęły w ciemności. Zrobił krok do przodu, ale powstrzymał się z wyraźnym wysiłkiem. Obok Chavasse'a znajdowały się drzwi do innego pokoju i nagle prawa piśtola Albańczyka wystrzeliła wprost przed siebie w owym straszliwym, podstawowym ciosie karate, znanym jako wsteczne uderzenie. Rodkowa

deska drzwi złamała się i wgięła do rodka.

Był taki mały japoński profesor, na którego kursy Chavasse uczęszczał trzy razy w tygodniu, gdy tylko znalazł się w Londynie. Potrafił on zrobić to samo z trzema złoconymi deskami, a miał tylko połowę wzrostu Tashka. Jego słowa rozległy się w umyśle Chavasse'a jak ciche echo starej melodii: Wiedza, Chavassesan. Wiedza, nie siła. Nie było zamiarem Boga, aby brutale rozdzielił ziemi.

- Postaraj się wyobrazić sobie, jak by wygięła twoja twarz - powiedział Tashko.
- To jest myślenie.

Chavasse poszedł korytarzem, nie odzywając się do nikogo. Jeden z ołnierzy otworzył drzwi z klucza i wepchnął go do rodka. Gdy się zamykały, Paul popatrzył przez kratki w zimne oczy Tashka.

Alba czyknęła głową.

- Nie martw się. Wróć.

Jego kroki ucichły w korytarzu. Chavasse odwrócił się do pozostałych żołnierzy.

Orsini siedział przy oknie, obejmując Liri, a koc zwieszał się z ich ramion. Panowało dojmujące zimno.

- Co się stało? - spytał Orsini.

Chavasse opowiedział. Gdy skończył, Liri potrząsnęła głową.

- Ona musi być diabłem.

- Nie, cara, żadnym diabłem - sprzeciwił się Orsini. - Jest taka jak cały ten gatunek ludzi, przekonana, że tylko ona zna prawdę ostateczną. Wierzy, że aby ją osiągnąć, wszystko jest dozwolone.

- Co nie pomaga nam ani na włos - odezwał się Chavasse.

Podszedł do drewnianej paki, usiadł na niej, podniósł kołnierz kurtki i założył rękawice, by zachować ciepło, które jeszcze miał w swym ciele. Zaczęli rozmawiać o Francesce Minetti. A wiecie, Enrico Noci był jej mężem? Dziwne, że dziewczyna o jej inteligencji zakochała się w mężczyźnie tego gatunku. To tylko dowodziło, jak nieodpowiedzialne stają się kobiety, gdy wchodzi w grę uczucie. Zbyt łatwo padają ofiarą swych emocji.

Orsini i Liri rozmawiali ciszonymi głosami i widać było, że zapanowała między nimi jakaś dziwna załamałość. Jak to kiedyś wyraził? Jeden dzień może ci powiedzieć o człowieku tyle co dziesięć lat. Szkoda, że musieli się spotkać w takich okolicznościach.

Co za ironia, że Giulio Orsini, człowiek, który przeniknął do głównego portu Aleksandrii na jednej z pierwszych torpedowców sterowanych, który zatopił dwa brytyjskie niszczyciele, który przez całe lata uchodził z powodzeniem z jednego za drugim desperackich wyczynów, musi tak skończyć, ponieważ wzruszył go udawany smutek młodej dziewczyny.

Uśmiech potrafi być absolutnie zadziwiający. Po chwili Chavasse opukał głowę na pierś i zasnął.

12

Głos przemocy

Nie był pewien, co go obudziło. Przez chwilę leżał, wpatrując się w ciemność. Czuł ból odrzuciętych mięśni i przejmującą zimno. Jego zegarek nadal chodził i na oświetlonym cyferblacie dostrzegł, że jest druga w nocy. Siedział przez chwilę, słysząc wycie wiatru na dziedzińcu, a potem wstał.

W korytarzu coś się poruszyło, a gdy wyrzucił przez kratkę, spostrzegł wartownika stojącego przed swym krzesłem z przerażeniem. Twarz w twarz przed nim stał pułkownik Tashko z rękami na biodrach.

- A więc spałeś, glisto.

Jego dłoń strzeliła do przodu, trafiając nieszczęsnego wartownika w twarz i odrzucając go z trzaskiem na krzesło. Gdy żołnierz z trudem wstał, Tashko popchnął go kopniakami wzdłuż korytarza.

- Jazda, wynocha! Zamelduj się na wartowni. Załatwi się z tobą później.

Orsini i Liri, obudzeni hałasem, podeszli do drzwi.

- Co się stało? - spytał Orsini.

- Tashko - poinformował go zwiastujący Chavasse. - Myślałem, że jest pijany.

Alba czyk podszedł do drzwi i przez kratkę popatrzył na Chavasse'a z dziwnym wyrazem oczu. Kurtka munduru miała rozpiętą, pod nią był nagi. Jego grube mięśnie sterczały jak napięte liny.

Otworzył czarną, skórzaną kaborę na biodrze i wyciągnął mauzera, a potem przekręcił klucz w zamku i powoli otworzył drzwi. Jego oddech czuły był alkoholem, mocno i przenikliwie, a Liri odruchowo zrobiła krok w stronę Orsiniego, który natychmiast objął ją ramieniem.

- Jak się wczujesz? - zadrwił Tashko.

- Dzień był długi i chcielibyśmy trochę się przespać - owiadczył Chavasse. - Wić łaskawie powiedz, o co ci chodzi, a potem wynosisz do wszystkich diabłów.

- Nadal dzielny? - zapytał Tashko. - Tak, to lubię. Wylałeś się.

- A co, jeśli ci powiem, żebyś poszedł do diabła?

- Przestrzel dziewczynie lewe kolano. Szkoda marnować dobry materiał, ale tak to jest.

Orsini dał krok do przodu, ale Chavasse odepchnął go.

- Zostaw, Guilio. To moja sprawa. - Wyszedł na korytarz, a Tashko zatrzasnął drzwi i przekręcił klucz. - Nie słońce, by Kapie to się spodobało. Chce mnie zachować dla Pekinu.

- Do diabła z Pekinem - owiadczył Tashko. - Zresztą teraz i tak ja dowodzę. Kapo i dziewczyna wyjechali pół godziny temu.

Potem pchnięciem posłał zataczającego się Chavasse'a wzdłuż korytarza i poszedł za nim w odległości około metra, z mauzerem trzymany w gotowości. Zeszli krętymi schodami, skręcili w szeroki korytarz i ponownie zaczęli schodzić kamiennymi schodami, które zdawały się ciągnąć w nieskończoność.

U ich stóp Tashko wyciągnął klucze i otworzył drzwi, wzmocnione grubymi tałami z elaza. Gdy weszli przez nie, Tashko nacisnął wyciskacz i zamknął drzwi na klucz.

Stali u szczytu szerokich, kamiennych schodów. W dole, w słabym świetle paru arówek rozciągał się zdumiewający widok. Wielki rzymski basen kąpielowy, liczący ze trzydzieści metrów długości, leżał w półmroku otoczony złamanymi filarami i kikutami czegoś, co niegdy musiało być kolumnadami piwnych proporcjach. W powietrzu unosił się mocny siarczany zapach, a woda parowała.

- Zdziwiają Cię, co ci Rzymianie potrafili osiągnąć - powiedział Tashko. - Oczywiście, redniowieczni ojcowie, którzy wybudowali klasztor, niezbyt przejmowali się takimi pogłoskami pozostałościami. Po prostu budowali nad nimi.

Zeszli schodami i poszli dalej po potraskanej, mozaikowej posadzce. Basen miał około dwóch metrów głębokości, woda była zupełnie nieruchoma, a twarz z utrzymanej w żywych barwach mozaiki na dnie patrzyła na nich lepymi oczami poprzez dwa tysiące cienia chaosu.

- Jest zasilany naturalnym źródłem - poinformował Tashko. - Sto dwadzieścia stopni Fahrenheita. Całkiem przyjemnie. Mówi, że ta woda jest dobra na reumatyzm.

Gdy Chavasse odwrócił się bez po piechu, Alba czyknął i zsunął kurtkę mundurową i oparł się na posadzkę. Podniósł do góry rękę. W jednej trzymał klucze, w drugiej mauzera, a potem szybkim ruchem cisnął jedno i drugie na radek basenu.

- Tym razem, przyjacielu, nie ma nic, co mogłoby ci pomóc.

A więc o to chodziło? Całkiem zwyczajnie był to przypadek osobistej próby człowieka tak dumnego ze swej brutalnej siły, i nie mógł pogodzić się z tym, że ktoś go pobili. Chavasse cofnął się niezdarnie, jakby ogarnęła go panika. Jeśli Tashko uzna go za frajera, może zrobić jakieś głupstwo.

Alba czyknął i ruszył przed siebie z opuszczonymi rękami i rozemniął się ochryple. W tym samym momencie wymierzył straszliwe wsteczne uderzenie, podstawowy cios karate, który zaskakuje nie wtajemniczonych, ponieważ jest wymierzane ręką z tej samej strony co noga cofnięta do tyłu.

Chavasse skrzyknął ramiona nad głowę, by skontrować x-blokiem, słynnym juji-uke i odpowiedział uderzeniem łokcia, które utrafiło Tashka prosto w usta, wybijając mu kilka zębów.

Alba czyknął i zachwiał się do tyłu, a krew trysnęła ze zmiażdżonych warg. Chavasse uśmiechnął się.

- Gyakuzuki, i do tego le wyprowadzone. Czy to najlepsze, na co ci sta?

Twą Tashka wykrzywiła złość, ale natychmiast przybrał pozycję obronną, wyzywając do walki. Chavasse zbliżył się powoli, prawe przedramię trzymając pionowo, lewym zabezpieczając korpus. Zaczęli się okręcać i Tashko zrobił pierwszy ruch.

Pchnął twarz przeciwnika nasadą dłoni, a gdy Chavasse to zablokował,

wyprowadził błyskawiczne uderzenie w jego ołdek. Chavasse obrócił się bokiem, unikając wiązki siły ciosu, i wymierzył z obrotu kopniaka w pachwinę. Alba czyka zwał się z nóg, a Chavasse, zapominając o niezbyt ostro nożem, uniósł kolano do padającej w dół twarzy przeciwnika.

Natychmiast zdał sobie sprawę z popełnionego paskudnego błędów. Cios, który zniszczyłby każdego normalnego mężczyznę, tylko wstrząsnął potężnym ciałem Alba czyka, którego łapska z zakrzywionymi pazurami sięgnęły mu do gardła.

Wiatła wydały się bardzo oddalone, w uszach nagle mu liniało, a przez ten dźwięk zdawał się dołatywać monotony, pewny głos profesora: Wiedza... Wiedza i inteligencja zwyciężą brutalny przemoc.

Wezwał na pomoc całą siłę swej woli i splunął w wielką, mierzając twarz, Tashko zaś cofnął się w odruchu tak naturalnym, jak oddychanie. Chavasse uderzył do góry sztywnymi palcami w odsłonięte gardło, a Tashko wrzasnął i zatoczył się do tyłu. Chavasse przetoczył się kilka razy w bok i wstał na nogi w chwili, gdy wielkolud chwiejnie zbliżył się do niego z wycigniętymi rękami, zapominając o całej sztuce walki. Chavasse dał nura pod jego ręce i uderzył prostym z wysuniętymi kłykami w dół klatki piersiowej Tashka. Ten zaczął się osuwać, a Chavasse uderzył jeszcze kolaniem w opadającą twarz, odrzucając Alba czyka do tyłu.

Tashko zachwiał się nad brzegiem basenu. Jego twarz była pokryta maską krwi.

Chavasse wyskoczył wysoko do góry, wymierzając w locie frontalnie kopniaka, niszcząc mae-tobigeri, prosto w twarz Alba czyka, którym odrzucił go do tyłu. Tashko wpadł do basenu.

Chavasse skoczył za nim z półobrotem, niezdarnie zanurzając się pod powierzchnię, a ciepła woda zdawała się ciągnąć go w dół. Dłonią wyhamował wstrząs o brodaty, mozaikową twarz i wynurzył się po piesznice.

Tashko znajdował się o jakieś metrów od niego, nieporadnie płynąc na radek basenu, gdzie wrzucił mauzera, a Chavasse podjął za nim. Wdrapał się na wielkie plecy Alba czyka, przesunął ramiona pod jego pachami i splótł dłonie na jego karku. Zaczęła cisnąć i Tashko wrzasnął. Nie czując ani cienia litości, Chavasse utrzymywał swój nieubłagany nacisk i wielką głową zanurzyła się w wodzie.

Ciało wroga podskakiwało i falowało, dłonie młóciły wodę, a zakipiała, ale Chavasse tylko wzmocnił chwyt i pchał dalej. Koniec nastąpił z zaskakującą nagłością. Tashko po prostu zwiotczał, a gdy Chavasse wypuścił go, opadł w dół, odwracając się na plecy, gdy dotarł do dna.

Chavasse szybko zaczerpnął powietrza i popłynął po mauzera. Klucze leżały nieco dalej i musiał przewrócić Tashka na bok, by je podnieść. Oczywiście Alba czyka wpatrywały się w wieczność, z jego zmianą jednej twarzy krew spływała brzożowymi strumyczkami. Chavasse odwrócił się i popłynął ku brzegowi basenu.

Na jego skraj odpoczywał przez jakieś pięć minut, z ciętko falując piersi, pompując powietrze do swych umęczonych płuc. Gdy poczuł się trochę lepiej, wstał i

poszedł po schodach. Musiał spróbować a czterech kluczy, nim natrafił na właściwy. Otworzywszy drzwi, po raz ostatni spojrział w dół na Tashka, który stamtąd patrzył na niego, teraz już tylko jako jedna z postaci mozaiki. Zgasił światła, zamknął drzwi i przekręcił klucz w zamku.

Korytarze stały ciche, w drodze powrotnej nie natrafił na nikogo. Przed magazynem krzesło, na którym spał wartownik, nadal leżało przewrócone. Postawił je na nogi, nim wsunął mauzera do kieszeni i zaczął gmerać wśród kluczy. Gdy je przebierał, przy kracie pojawił się Giulio Orsini. Rzucił okiem w jedną i drugą stronę korytarza, a na jego twarzy pojawił się wyraz zdumienia.

- Co się stało z Tashkiem?

- Popelnił błąd - rzekł Chavasse, otwierając drzwi. - Swój ostatni. Ruszajmy.

Poszedł korytarzem, przypominając sobie drogę, jak tu przyszli. Kamienne krcone schody prowadziły w dół na pierwsze piętro, drugie do piwnicy. Wszędzie panował spokój.

Poprowadził ich w skim, bielonym korytarzem, zatrzymując się na jego końcu, by zbadać hol wejściowy. Nie było tam posterunku, ale po cóż miałby być? Budowlę otaczały dwa dziewięciometrowe mury, głównych bram w obu z nich strzegły silne oddziały wartownicze.

Już wcześniej wytłumaczyli Orsiniemu, jak przeniknąć do klasztoru, więc Włoch bez wahania podjął za Chavasse'em, prowadząc za sobą dziewczynę.

Trzymali się cienia muru, obchodząc dziedziniec od przeciwnej strony niwartownia, gdzie w oknie było widać światło, a przedostali się do krużganków przez dziurę w zrujnowanym murze. Było bardzo ciemno, więc Chavasse ostro nie przeszedł między filarami i skręcił w korytarz, prowadzący do celu.

Musiał zbadać trzy, nim trafił na tę, w której znajdowała się kamienna krata, za którą Orsini wychylił, zaczepiwszy swoje wielkie palce jak stalowe haki w otworach.

- Pójdź pierwszy - zarządził Chavasse. - Następnie Liri. Ty, Giulio, ostatni, a schodząc, połóż kratę na miejsce.

Ześlizgnął się po kamiennej pochylni na plecach, uniósłszy przedramiona dla osłony twarzy i z pluskiem wylądował w tunelu na dole. Liri zsunęła się na dół tak szybko, że z rozpadu wpadła na niego, gdy wstawał. Orsini dołączył do nich w chwilę później. Zbili się w małą grupkę.

W tunelu było tak ciemno, że nie mogli dostrzec swych twarzy. Chavasse odezwał się spokojnym tonem:

- To nie będzie piknik. Cokolwiek się zdarzy, trzymajcie się blisko. Jeśli uda nam się przedostać do głównego kanału, nie możemy zabłądzić, bo przed nim musi płynąć w kierunku rzeki.

- Każde miejsce jest lepsze od tego, które właśnie opuściliśmy - rzekł Orsini. - Lepiej się pośpieszmy.

Chavasse ruszył wzdłuż tunelu skurczony we dwoje, z Liri trzymając się poły

jego ceratowej kurtki. Ogarn ło go dziwaczne, klaustrofobiczne uczucie, niepodobne do niczego, co prze ył dotychczas, a przecie nie bał si . Ciemno była ich przyjacielem, poniewa osłaniała ucieczk . Czuł za to wdzi czno .

W kilka chwil pó niej wynurzyli si z tunelu w centralnej jaskini. Chavasse stał po uda w mierzdej wodzie, wpatruj c si w mrok.

- Paul, ojciec Shedu odliczył osiem otworów w lewo od przejcia, przez które tu weszli my - powiedziała Liri.

Skin łągłow .

- Oboje trzymajcie si za mn . Mam pomysł.

Wyci gn łą mauzera, wycelował w wod i strzelił. W nagłym, jasnym błysku wiatła wyloty tuneli ujawniły si jak ciemne rany. Wystrzelił ponownie, szybko licz c, a potem ruszył przez zbiornik.

Badaj c otoczenie dłoni , natrafił na otwór i mrukn łą zadowolony. Pi dziesi t metrów dalej tunel wylewał sw zawarto głównego kanału. Chavasse usłyszał plusk i bulgot wody, spływajcej w dół, do rzeki. Ju tutaj smród wydawał si łąjszy. Posuwaj c si wzdłu ciany, Chavasse odetchn łągł boko, by oczy ci mózg od ci aru wyziewów.

W ciemno ci zamajczyła przysta w wietle płyn cym od pal cych si wiec przy ikonie, stojcej w niszy u podnó a schodów. Płaskodenka Liri nadal tkwiła tam, gdzie j zostawili. Chavasse usiadł na skraju przystani i zm czony przetarł oczy wierzchem dłoni.

- Ile paliwa masz w tym czym ? Do , by zawiozło nas do wybrze a?

- Tak my łą . W ka dym razie przez wi ksz cz drogi.

- eby dosta si do Buona Esperanza, potrzebny nam jeszcze kompas - powiedział Orsini. - Przynajmniej, je li mamy wyruszy teraz, w ciemno ci.

- Nie mo emy sobie pozwoli na wyczekiwanie do witu - odrzekł Chavasse. - Wtedy wła nie Kapo wy le Francesc w pontonie. Je li mamy ich wyprzedzi , musimy rusza natychmiast.

- Ojciec Shedu b dzie miał kompas - stwierdziła Liri. - Poczekajcie tutaj.

Weszła po schodach, a drzwi zamkn ły si za ni . Orsini padł na kamienie obok Chavasse'a.

- Co za dziewczyna! Wi kszo kobiet miałyby w tej chwili atak hysterii.

- B dzie musiała pojecha z nami - rzekł Chavasse. - Teraz ju nie mo e tu zosta .

- A co z zezwoleniem na przekroczenie granicy? Wiem, jak to jest z uciekinierami - bezpa stwowcami.

- Tym si nie martw. Znam kogo trzeba w ministerstwie w Rzymie. Dopilnuj , by j traktowano jak ksi niczk krwi. Nawet znajdziemy dla niej prac . Zasłu yła na to.

- Mo e nie b dzie musiała pracowa .

Chavasse spojrział na niego z zaciekawieniem.

- Szybko si decydujesz, prawda?

Orsini wzruszył ramionami.

- Albo wie si natychmiast, albo to nie ma sensu. Oczywi cie, jestem od niej o dwadzie cia lat starszy.

- Na twoim miejscu tym akurat bym si nie przejmował - zauwa ył Chavasse. - Potrafi pozna prawdziwego m czyzn na pierwszy rzut oka.

Chavasse siedział na przystani z r k bol c jak wszyscy diabli i czuł, e siły powoli go opuszczaj . Wkrótce skrzypn ły otwierane drzwi i po schodach zszedł ojciec Shedu w towarzystwie Liri.

- A wi c cuda jeszcze si zdarzaj - powiedział, podchodz c do nich.

- Ojcie, mój przyjaciel Guilio Orsini - przedstawił go Chavasse. - Ciesz si , e ojciec trzymał si z dala od wydarze na górze. Oni do tej pory nie maj najbledszego poj cia, jak dostali my si do rodka.

Ksi dz nalał brandy do paru blaszanych kubków i wr czył Liri niewielki koszyczek.

- Wiem, e mało tego. Chleb, ser i troch suszonego mi sa. Dostatnie ycie jako zwleka z przybyciem do Republiki Ludowej.

- Zjemy to w drodze - powiedział Chavasse.

Wypił troch brandy i zakaszłał, gdy spłyn ła mu do przetyku, pal c jak ogie .

- Liri opowiedziała mi, co tu si wydarzyło - rzekł kapłan. - Bolej nad tym, e ta kobieta ci oszukała.

- I b dzie nadal prowadziła t gr , je li nie uda si nam jej zatrzyma - odrzekł Chavasse. - Liri pomy łała, e mo e ojciec ma kompas.

Ksi dz wyci gn ł przyrz d i nacisn ł spr yn . Pokrywka odskoczyła. Chavasse przyjrzał si kompasowi i dostrzegł na nim napis W. D. 1941 oraz szerok , urz dow strzałk .

- Z ekwipunku armii brytyjskiej?

- Pami tka z poprzedniego ycia. We j wraz z moim błogosławie stwem. - Zwrócił si ku dziewczynie, kład c dło na jej ramieniu. - A co b dzie z tob , Liri?

- Ona jedzie z nami, ojcie - burkn ł Orsini. - Zaopiekuj si ni .

Ksi dz popatrzył na niego badawczo, a potem u miechn ł si .

- Niezbadane s drogi Pa skie. A teraz ju jed cie, póki jeszcze jest czas.

Wskoczyli do łódki, Liri uj ła rumpel. Silnik zaskoczył, a jego ryk wydawał si wypełnia cał jaskini . Odpłyn li po pieźnie.

Gdy wysuwali si przez ciemne uj cie, Chavasse obejrzał si i zobaczył, e franciszkanin nadal stoi na brzegu i patrzy za nimi. W chwil pó niej skr cili w główny nurt i w ciemno ciach popłyn li w dół rzeki.

13

Nocna akcja

Gniewna, nabrzmiała od deszczów spływaj cych z północnych gór rzeka mkn ła

ku morzu z wi ksz ni zazwyczaj sił .

Krucha, płaskodenna krypa nieustannie nabierała wody, wi c Chavasse z Orsinim na zmian wyczerpywali j star blaszan miednic . Zjedli ywno otrzyman od ksi dza i doko czyli butelk brandy.

Chavasse siedział na dziobie z kołnierzem podniesionym dla osłony przed bryzgami i t sknił do papierosa. Zastanawiał si , co takiego zrobi Kapo? Zapewne zacumuje gdzie w dole rzeki i poczeka do witu. A potem wy le Francesc w pontonie, Carlo za przelknie ka de przekl te kłamstwo z jej ust.

Jakie pół godziny pó niej silnik zakaszłał i nagle zgasł. Gdy barka zaczęła dryfować bokiem w mocnym nurcie, Liri zawołała:

- Pod siedzeniem s wiosła. Obró cie j dziobem w dół rzeki.

Pomacawszy w ciemno ci, Chavasse znalazł dwa prymitywne wiosła. Przechylił si przez burt i zanurzył swoje gł boko w wod , wyt aj c wszystkie siły. Krypa z wolna powróciła na główny nurt.

Orsini zabrn ł na ruf i po krótkich zmaganiach udało mu si zdj obudow .

Posługuj c si był cznie dotykami, próbował umiejscowi defekt i po chwili jego wra liwe palce natrafiły na przerwany przewód do jednej ze wiec. Drut był stary, kruchy i rozsypywał si w palcach, ale wreszcie udało mu si go poł czy . Nacisn ł starter. Silnik zrobił dwa obroty, zakrztusił si , ale w ko cu wrócił do ycia. Gdy barka skoczyła przed siebie, Chavasse z ulg spocz ł na ławce wio larskiej.

- Czy to mo e jeszcze si powtórzy ? - zapytał półgłosem.

- Nie zdziwiłbym si . To musi by jeden z silników, jakich u ywali na Arce Noego.

Orsini pozostał przy sterze, wzi wszy silnik pod opiek , Liri za przeszła na rodek łodzi i zaczęła wyczerpywać wod . Ci gle jeszcze było całkiem ciemno, widzialno prawie zerowa. Orientowali si tylko według jasnej linii wody przy brzegach.

W ród nocy zamajaczyła bryła du ej wyspy. Liri krzykn ła nagl co i Orsini przeło ył rumpel, kieruj c łód na rodek rzeki. Gdy pochwycił ich nurt, nagle rozległ si okrzyk z lewej strony i Chavasse, rzuciwszy okiem przez rami , zobaczył motorówk zakotwiczon pod osłon wyspy, ze wiatłem zapalonym w sterówce.

Dostrzegł ludzi poruszaj cych si po pokładzie, usłyszał zmieszane głosy i nagle wł czono mocny reflektor, zamontowany na dachu sterówki. Uko ny snop wiatła uderzył w ciemn wod . Pod ył za nimi nieubłaganie, o lepiaj c ich i chwytaj c w pułapk jak muchy w paj czyn .

Rozległ si krzyk konsternacji i niedowierzania, a potem w zimnym powietrzu głos Franceski rozbrzmiał jak sygnał tr bki my liwskiej:

- Kapo! Kapo! Chod szybko!

Chavasse przechylił si przez burt , gor czkowo grzebi c wiosłem, Orsini za wyciskał ze starego silnika, co tylko si dało. Gdy nurt okr ył ostatni, zakrzywiony

przył dek wyspy, wpadli w bystrze i znowu skryła ich ciemno .

W kilka chwil pó niej silnik motorówki o ył z turkotem, a Liri przepchn ła si do rufy.

- Teraz przejmuj ster - powiedziała. - O jakie pół kilometra w dół rzeki jest strumyk.

Je li tam dotrzemy, b dziemy bezpieczni. Jest zbyt w ski, by mogła tam wpłyn motorówka.

B d musieli pozosta na głównym kanale.

Orsini przesun ł si obok Chavasse'a, uj ł drugie wiosło i wbił je w wod z całej siły.

W tej chwili przepływali zw enie rzeki, a wezbrane wody mkn ły z pot nym rykiem, zagłuszaj c silnik motorówki. Chavasse bez przerwy d gał wod prymitywnym wiosłem, z najwyszym wysiłkiem pokonuj c zm czenie wywołane wydarzeniami ostatnich dwudziestu czterech godzin.

Gdy rzeka stała si szersza, podsun li si bli ej brzegu i zupełnie niespodziewanie, kiedy przycichł ryk wezbranych wód, niedaleko z tyłu dał si słysze silnik motorówki.

Chavasse obejrawszy si przez rami , dostrzegł o wietlon sterówk i wymierzony w nich promie reflektora. Dało si słysze ostre, mordercze staccato pistoletu maszynowego, lecz w tym samym momencie krypa skr ciła pod osłon niedu ej wysepki i zacz ła wykonywa zwrot.

Z ciemno ci wypłyn ły trzciny, a gdy uchwycił ich reflektor, w ród mroku nagle pojawiło si uj cie strumyka. Krypa skoczyła w jego kierunku, zwolniła biegu, tr c dnem o podwodn ławic mułu, ale zaraz potem przebili si dalej. Karabin maszynowy zagrzecotał ponownie bez adnego skutku i trzciny zamkn ły si za nimi.

Liri zmniejszyła pr dko i zacz li płyn przy samym brzegu strumyka, ocieraj c si o w skie, jasne li cie. Z wolna chlupot głównego nurtu cichł. Silnik motorówki zamilkł na chwil , lecz usłyszeli z oddali, jak znów si wł cza i zacicha, gdy łód Kapa zacz ła spływa z pr dem. Orsini roze miał si słabo.

- O mały włos.

Chavasse wyj ł z kieszeni otrzymany od ojca Shedu kompas i podał Włochowi.

- Powiniene zacz tym si posługiwa . Nie mamy czasu, by si obija .

Orsini przeszedł na ruf i zaj ł miejsce obok Liri.

- Nasz kierunek to południowy zachód ku południowi. Czy da si utrzyma ?

- Tak my ł . Znam ten strumie i wiem, jak biegnie. Wkrótce wypłyniemy na wielk lagun . Tam zmienimy kierunek. Mo liwe, e w niektórych miejscach b dziecie musieli wysiada i popycha .

- Kiedy zrobi si jasno? - spytał Chavasse.

- Za godzin , mo e troch pó niej. Ale mo na powiedzie , e z pewno ci b dzie mgli cie.

- Nasz los w twoich rękach, cara - powiedział Orsini.

Tak jak zapowiedziała, wypłynęli na rozległy lagun i skręcili w labirynt wijących się kanałów. Silnik zatrzymywał się wielokrotnie, gdy wodorosty wkręcały się w rury, a zamarł ostatecznie.

Orsini badał go przez parę minut i w końcu potrzęsł głowę.

- Obawiam się, że to koniec. Nic nie mogę zrobić, przynajmniej w tych warunkach.

Od tej chwili mogli posługiwać się tylko wiosłami, a wkrótce trzciny stały się tak gęste, że obaj musieli przelecieć przez burtę, brnąć w gęstym i lepkim szlamie, by utworzyć drogę dla płaskodenki, bezustannie starając się trzymać kierunku wskazanego przez kompas.

Mulista woda była zdradliwa i bez ostrzeżenia zmieniała głąbokość. W pewnej chwili Chavasse zrobił tylko jeden krok i pogrążył się z głową. Przeklinając, znalazł wreszcie względnie stabilne dno, a gdy przebili się do następnego kanalik, wgramolił się do krypy.

Orsini za miał się ponuro.

- Z takiej rozrywki zrezygnowałbym bez żalu.

Zimno było dotkliwie, nad wodę wyla się pasma mokrej mgły. Od czasu do czasu zarośli, przez które się przeciskali, podrywało się z trzepotem ptactwo, pokrzykując do siebie ze złości i ostrzegając znajdujących się w przodzie przed intruzami.

Ciemno ci wyraża niepojęcia, wokół nich woda zaczęła lekko pobłyskiwać, a wreszcie już wyraża nie widzieli trzciny. W górze rozległo się gaganie gosi, zrywających się na powitanie witu.

Orsini był blady, miał zapadnięte policzki, a ciemna szczecina jego podbródka jeszcze to podkreślała. Wyglądał, jakby przybyło mu dwadzieścia lat, a w okropnym zimnie dłonie lekko mu drętały. Chavasse też czuł się nie najlepiej. Dziewczyna wyglądała bardziej wieśniaczko, ale przecie nie spędziła prawie godziny zanurzona po pas w lodowatej wodzie.

Wpłynęli na szerszy kanał i Orsini podniósł rękę.

- Musimy być blisko. Bardzo blisko.

Stanął w łodzi, przyłożył dłonie do ust i zawołał z całej siły:

- Buona Esperanza ahoy! Ahoy, Buona Esperanta!

Nie było odpowiedzi. Chavasse dołczył swój głos.

- Carlo! Carlo Arezzi!

Ich wezwanie ucichło. W szarym wietle popatrzyli na siebie bezradnie. Liri podniosła rękę.

- Co usłyszałam.

Chavasse najpierw pomyślał, że to wołanie ptaka, ale potem rozległ się ponownie głos, niewątpliwie ludzki. Powiosłowali w mgłę; stopniowo nawoływanie słychało było coraz wyraźniej.

Po raz ostatni Orsini i Chavasse przeszli przez burt , przepychaj c kryp przez cian trzciny, a potem, całkiem nagle, przebili si i znale li w znajomej lagunie.

Z drugiego jej ko ca Buona Esperanza zdawała si płyn im na spotkanie przez opary. Na dachu sterówki stał, utrzymuj c równowag , Carlo Arezzi.

14

Przebijanie si

W kabinie było ciepło. Chavasse wytarł si energicznie, a potem szybko naci gn ł zapasow par drelichowych spodni roboczych i gruby sweter Carla.

Zapukano do drzwi i Liri Kupi zawołała:

- Czy jeste ubrany?

Weszła, nios c kubek kawy, który przyj ł z wdzi czno ci . Była tak gor ca, e a parzyła, a sam jej aromat przywracał mu ycie.

- Najlepsza ze wszystkich, jakie próbowałem. Gdzie jest Guilio?

- Poszedł na gór , do sterówki. Wspomnił co o wykre leniu kursu.

Otworzyła pudeleczek, podsun ła mu jednego ze swych macedo skich papierosów i zapaliła zapalk , podaj c j jak m czyzna w zło onych dłoniach.

Chavasse wydmuchn ł chmur dymu i obrzucił dziewczyn przenikliwym spojrzeniem.

- Lubisz go, prawda?

- Guilia? A któ by nie lubił?

- Jest starszy od ciebie o dwadzie cia lat, chyba wiesz o tym?

Wzruszyła ramionami i odpowiedziała spokojnie:

- A ty wiesz, co si mawia o dobrym winie.

Chavasse zachichotał, obj ł j za ramiona i u cisn ł.

- Fantastyczna z ciebie dziewczyna, Liri. Widz , e chlop ma szcz cie.

Przełkn ł reszt kawy, oddał kubek i poszedł zej ciówk na pokład. Wła nie zacz ło pada , a mgła otulała wszystko wokół jak szary całun. Gdy wszedł do sterówki, zastał Orsiniego i Carla schylonych nad mapami.

- I jakie wyniki? - zapytał.

Orsini wzruszył ramionami.

- Uwa am, e powinni my spróbowa wydosta si głównym uj ciem. Tak b dzie szybciej i mamy du e szans , e nam si upiecze. Po drugiej stronie znajduje si terytorium jugosłowia skie i alba skie statki nie lubi si do niego zbyt zbliz a . Je li tylko wypłyniemy na otwarte wody, nic z tego, czym dysponuj , nie ma szans, by nas dogoni .

- Przypuszczam, e Kapo liczy na to, i tak wła nie zrobimy.

- To bardzo prawdopodobne. Uwa am, e powinni my si o tym przekona .

Chavasse wzruszył ramionami.

- Zgoda. My l jednak, e przydałoby si wyci gn troch elastwa, po prostu

na wszelki wypadek.

- Zajmij się tym razem z Carlem. A ja tutaj puszczę wszystko w ruch.

Chavasse zszedł na dół wraz z młodym Włochem, otworzył skrzynie pod siedzeniami i rozpakował broń. Został im jeszcze jeden pistolet maszynowy, tuzin granatów ręcznych i stary Ikm Bren. Wrócili na pokład i ułożyli przygotowaną broń na podłodze pod stolikiem nawigacyjnym.

Tu po piątej rano silniki drgnęły i Orsini skierował łódź we mgłę. Chavasse stał koło Liri na dziobie, a deszcz bił go po twarzy, wiatr zaś, wiejący od morza, skręcał otaczające ich białe tumany w dziwaczne kształty.

Dziewczyna przyglądała się temu z rozchyłonymi wargami i lekko zaróżowionymi policzkami.

- Cieszysz się, kiedy odjedziesz? - zapytał.

Lekko wzruszyła ramionami.

- Nie zostawiam za sobą nic, do czego chciałabym wracać.

Gdy rozjaśniło się bardziej, widać było srebrne lance deszczu, dające pionowo przez mgłę. Gdzie tajemniczym głosem odezwał się kulik. Raz, dwa razy, a Chavasse czekał z zapartym tchem, ogarnięty wspomnieniem dziecięcej powiedzonki: Raz to radość, dwa to smutek, trzy to śmierć.

Nie było trzeciego razu, co oznaczało dla nich lekki smutek, ale z tym mógł dać sobie radę. Odwrócił się i wszedł do sterówki.

Przez pół godziny przesuwali się wolno szerokim kanałem, przepływając z jednej laguny w następną, raz tylko zmieniając kierunek. Widocznie skurczyła się do dwudziestu metrów, ale trzciny odsuwały się coraz dalej, a kanał poszerzał.

Woda zaczęła klaskać o kadłub, marszcząc się długimi, coraz większymi fałdami.

Orsini uśmiechnął się z zaciśniętymi wargami.

- To Buna. Jesteśmy o jaki kilometr od morza.

Łódź pędziła przed siebie, silniki brzmiały cichym pomrukiem, prawie zupełnie zagłuszonym szumem rzęsistego dźwięku. Chavasse przyjrzał się mapie. Ujście było zaniezione piaszczystymi mieliznami, a główny jego kanał, którym tutaj wpłynęli, był nie szerszy niż na trzydzieści metrów. Jeśli Kapo znajdował się gdziekolwiek w pobliżu, to musiał czekać właśnie tutaj.

W parę chwil później Orsini zgasił silniki i zaczęła dryfować z prądem. Szyper otworzył boczne okno i wychylił się.

- Jesteśmy prawie na miejscu. Jeśli patrolujecie, usłyszymy ich silniki.

Chavasse wyszedł na pokład i stanął na dziobie nasłuchując. Carlo i Liri dołączyli do niego. Początkowo nie było żadnych odgłosów prócz wiatru i szemrania deszczu, ale nagle Carlo podniósł rękę.

- Zdaje mi się, że coś usłyszałem.

Chavasse odwrócił się, dał ostrzegawczy sygnał Orsiniemu i Włoch zmienił kurs, kierując łódź tam, gdzie z morza wznosił się długi grzbiet piaszczystej łachy. Osiedli na

niej z lekkim wstrząsem. Chavasse pobiegł do sterówki.

- Carlo mówi, że co usłyszał. Natykanie się na coś, co moglibyśmy ominąć, nie ma sensu. Pójdziemy pieszo obejrzeć się.

Stanął na relingu i skoczył do wody głębokiej tu na kilkanaście centymetrów. Carlo rzucił mu pistolet maszynowy, a potem podał się za nim. Wśród mgły poszli grzbietem mielizny.

Cięgnęła się ona parę set metrów; w niektórych miejscach woda przelewała się przez nią i musieli brodzić. Hałas silnika był teraz nieomylnie rozpoznawalny. Chwilami cichł, a po minucie czy dwóch znów stawał się głośniejszy.

- Musz patrolować ujście kanału - orzekł Chavasse.

Carlo pociągnął go na piasek. Nie dalej niż o dwadzieścia metrów od nich wypłynęła z mgły motorówka. Przez mgnienie oka widzieli olbrzyma przycupni tego na dachu sterówki z pistoletem maszynowym w rękach, a potem mgła znów połknęła stateczek.

Pobiegli z powrotem mielizny; za ich plecami hałas motorówki wolno cichł. Mgła jakby zgasła, a gdy z mroku wyłoniła się Buona Esperanza, woda zaczęła przybierać, przelewając się przez ciemnych piasku i szarpąc ich za buty.

Chavasse wszedł do wody, a Orsini wychylił się przez reling, by mu pomóc wejść.

- Słuchaj?

Chavasse kiwnął głową i pokrótce opowiedział, co ujrzeli.

- I co teraz?

Wrócili do sterówki i Orsini pochylił się nad mapami.

- Możemy wrócić na bagna. Z pewnością ci jest tam jakieś przejście, ale przedostanie się łodzi tak jak nasza zabierze wiele godzin i to bez żadnej gwarancji powodzenia. Do tej pory Kapo wezwie alba skarmyńską wojenną, jakkolwiek ona jest. Możemy mieć kłopoty, jeśli wpadniemy na nich, nie mając drogi wyjścia.

- A czy mamy wybór?

Orsini przesunął palcem po mapie.

- Tu jest kanał. Biegnie około półtora kilometra ku południowemu zachodowi, wychodząc na Koci Wyspę. Rozumiesz, co mam na myśli?

- A jaki jest hak? To mi wygląda całkiem dobrze.

- Jak już mówiłem, obecnie rzeka jest słabo wykorzystywana z powodu sporów granicznych i dopuszczono do zamulenia takich kanałów jak ten. Nie ma sposobu, by się dowiedzieć, ile teraz mają wody. Prawdopodobnie jest bardzo płytko.

- Masz ochotę poprobać?

- To zależy od was wszystkich.

Zerknąwszy na Liri, Chavasse od razu powiedział, że nie ma zastrzeżeń, więc Orsini nacisnął starter i cofnął się od mielizny. Łódź położyła się w długi, płynny skręt i ruszyła znów w górę rzeki.

Wychylony przez boczne okno, Orsini, mruć oczy, wpatrywał się we mgłę. Po chwili chrząknął krótko i przełożył ster; wpłynęli między niskie, wystające piaszczyste mielizny. Zredukował szybko do najniższej i łódź zaczęła posuwać się naprzód tak ostro nie, jak starsza pani, przekraczając zatłoczoną jezdnię.

Fale klaskały głucho o dno - nieomylny znak płyeczny, a raz czy dwa rozległo się ciche szuranie, gdy przesuwali się przez krawędź piasku. Uplynieło może z pięć minut, gdy wrośli się w dno i stanęli.

Orsini szybko wrzucił wsteczny bieg. Początkowo łódź nie chciała się ruszyć, ale wreszcie oderwała się od piasku z paskudnym, śsącym odgłosem. Carlo bez słowa przeskoczył przez burtę. Woda się gąła mu po pierze, ale po paru krokach opadła do pasa.

Skręcił w lewo i w chwili później znów był zanurzony po pachy. Szybko machnął dłońmi, Orsini za przełożył ster, kierując łódź w ład za Carlem.

Młody Włoch popłynął między mielizny, sondując dno co parę metrów, a za nim Buona Esperanza ostro nie podjęła wytyczoną przez niego kurtę drogę. A nagle z mgły nadeszła fala, przykrywając Carla z głową.

Wynurzył się, podpłynął do łodzi, a gdy Chavasse wciągnął go do ródka, twarz Włocha rozjaśniał szeroki uśmiech.

- Głęboka woda. Nie mogłem zgruntować. Przeszliśmy.

Orsini pomachał mu ręką ze sterówki i dodał gazu, przekładając ster, by wyprowadzić łódź z ujścia na morze. O pięćdziesiąt metrów dalej ciemny masyw Kociej Wyspy wychylił się z mgły, więc skręcił w lewo. Kiedy opływali cypel, walczył ze spychającym ich prądem, ryknęły silniki i szary patrolowiec marynarki wojennej wyskoczył ze skalistej zatoczki, w której był przyczajony.

Gdy przelatywał przed ich dziobem, otworzył ogień ciężki karabin maszynowy, zasypując pociskami pokład i roztrzaskując szyby sterówki. W przelocie Chavasse ujrzał stojącego przy relingu Kapa, nadal ubranego w kurtkę mylińską z futrzanym kołnierzem, wykrzykującego coś do swoich ludzi.

W otwartych drzwiach sterówki pojawił się Carlo z pistoletem maszynowym przy biodrze, strzelając w biegu przez pokład do relingu. Na patrolowcu ktoś wrzasnął, a Kapo dał nura i zniknął.

Orsini już włączył silniki na pełną moc, ale z przedniego pokładu patrolowca zaczął strzelać drugi karabin maszynowy. Pociski smugowe i artyleryjskie biły w kadłub łodzi, a zaczęła kołysać się od uderzenia.

I nagle wszystko się skończyło, a dziób Buona Esperanta wychylił się ponad fale, gdy patrolowiec rozplynął się we mgle przed nimi. Chavasse wstał z pokładu i pomógł podnieść się Liri. Miała na twarzy krew, którą otarła szybkim gestem.

- W porządku? - zapytał. Kiwnęła głową.

- Fruwajcie drzazga, i to wszystko.

Wrócił Carlo, przyciskając do piersi pistolet maszynowy. Po raz pierwszy od

chwili, gdy Chavasse go poznał, był wesół.

- Doło yłem jednemu skurwysynowi tak, eby mnie zapami tał.

Chavasse podszedł do drzwi sterówki. Okna były strzaskane, szkło rozrzucone po podłodze, ale Orsini wyszedł cało.

- Natychmiast si poło yłem - zawołał, przekrzykuj c ryk silnika. - Czy widziało Kapa?

- Na pokładzie przez chwil ; my lałem, e nam skutecznie dosoli. Powinni my byli liczy si z tym, e ka e pilnowa obu wyj z laguny.

- Mam nadziej , e tej wini polecą za to głowa.

W chwili gdy Orsini dziko si u miechn ł, silniki przerwały kilka razy, zawały si , spróbowwały schwyci ponownie rytm i zgasły ostatecznie.

Buona Esperanza jeszcze pruła do przodu, rozcinaj c dziobem fale, a potem zwolniła i zaczęła dryfowa z pr dem.

15

Ostatnie po egnanie

Gdy Orsini zdj ł pokryw luku male kiej maszynowni, wszyscy poczuli zapach wyciekaj cego paliwa. Carlo zsun ł si po krótkiej stalowej drabince, Chavasse i Orsini pod yli za nim.

Młody Włoch szybko zbadał spraw i odwrócił si do nich.

- Mogło by gorzej. Przewód zasilania jest uszkodzony. Mieli my szcz cie, e to całe cholerstwo nie wyleciało w powietrze a do nieba.

Postrz pioną dziurę w stalowym kadłubie, wybita pociskiem artyleryjskim, wskazywała, jak do tego doszło.

- Jak stoimy z cz ciami zamiennymi? - spytał Orsini.

- Z tym nie ma sprawy, ale b d musiał jeszcze załata wyrw w kadłubie.

- Ile czasu?

- Dwadzie cia minut, je li pójdziecie sobie st d do wszystkich diabłów i zostawicie mnie samego.

Chavasse wspi ł si po drabince na pokład, gdzie czekała Liri.

- Jak wielka jest szkoda? - zapytała.

- Do du a, by na najbli sze pół godziny zrobi z nas łatwy cel.

Orsini wygramolił si z maszynowni i ponuro pokiwał głow .

- Je li ta winia teraz nas nie złapie, znaczy, e na to i nie zasłu ył. Lepiej przygotujmy si , Paul.

Otworzył skrzynk z amunicj i starannie załadował stunabojowy magazynek talerzowy, Chavasse za sprawdził karabin maszynowy i przynale ny do niego tuzin magazynków. Liri wdrapała si na dach sterówki i podj ła obserwacj , staraj c si przebi wzrokiem mgł .

Sko czywszy ładowanie pistoletu maszynowego, Orsini; zszedł na dół i powrócił

ze starym amerykańskim pistoletem: wojskowym. Rzucił go dziewczynie.

- Z tego co mam, najlepiej ci posłuży ten, ale uważaj, kopie jak rozszoszczony muł.

- Przez całe życie posługiwałam się bronią - odparła, wyciągając magazynkę i obrzucając go fachowym spojrzeniem.

Orsini, zadarłszy głowę, uśmiechnął się do niej.

- Zastanawiam się, jak by wyglądała w spódniczce oraz parze przyzwoitych pończoch i pantofli. To wielka myślenie. Gdy dotrzemy do Matano, będziesz musiał się tym zająć.

Roze miała się zarumienioną twarz, ale nagle jej uśmiech zgasł.

- Cicho, zdaje mi się, że ich usłyszałam.

Łódź wspięła się na wzburzonym morzu, a fale głucho załomotały o dziób. Chavasse stanął przy relingu natychmiast słuchając i z oddali doleciało do niego huczenie silnika.

- Zejdź stamtąd - powiedział do dziewczyny Orsini. - Wejść do sterówki i połóż się na podłodze.

Miała do rozskądania, by się nie spierała i zrobiła to, co jej kazano. Chavasse stanął nad nią z lufą brena wytkniętą przez jedno z okien, Orsini zaś przykucnęła koło pokrywy luku maszynowni.

- Moje odpływaj? - wyszeptała Liri.

Chavasse pokręcił głową.

- Za żadne skarby. Musieli usłyszeć, że nasze maszyny stanęły, więc wyłczyli własne i słuchaj, by stwierdzić, co się dzieje. Kapo wie, że są tylko dwie możliwości. Albo schwytał nas drugi okręt, albo nasze maszyny nawaliły.

Patrowiec zbliżał się coraz bardziej, kręcąc w przód i w tył w ród mgły. Tym razem przepłynął koło nich doprawdy blisko, bo jego fala dziobowa pomknęła przez wodę, a Buona Esperanza zakolysała się gwałtownie. Przez chwilę Chavasse myślał, że ich nie dostrzegli, ale wtem silnik patrolowca rozległ się głośnie i on sam wynurzył się z mgły.

Okręcił ich od strony rufy, a powietrze rozdarły gromne odgłosy. Najbardziej dał się im we znaki ciężki karabin maszynowy, zamontowany na rufie, z obsługą ukrytą za wygiętą tarczą z blachy pancernej. Na dziobie stało kilku żołnierzy, strzelających z karabinów i pistoletów maszynowych, Kapo zaś schylił się za ich plecami z rewolwerem w ręce.

Chavasse otworzył ogień, zataczając lufą brena łuk, i paru żołnierzy padło plecami na pokład. Ujrzał Francese biegnącego z pochyloną głową i zaczął ciągnąć ciga serię z karabinu maszynowego. Jednak pociski rozłupały tylko reling koło jej głowy. Gdy Chavasse'owi skończyła się amunicja, dziewczyna zniknęła w sterówce.

Rzucił się na pokład w poszukiwaniu następnego magazynka, lecz nagle nad jego głowę rozprysło się szkło, po czym roztrzaskała się ciana od uderzenia pocisku

smugowego i granatu armatniego. Kiedy patrolowiec zakręcił, Orsini zerwał się na nogi i posłał długą serię obłudze karabinu maszynowego na rufie. Usłyszeli ostry krzyk. W chwili gdy okręt zniknął we mgle, jeden z ugodzonych zachwiał się, przewrócił przez reling i spadł do morza.

Dwaj patrolowcy zacięli. Orsini wrzasnął do Liri:

- Nie podnoś się. Za drugim razem powa nie weźmiesz się za nas.

Patrolowiec okręcił ich kilka razy, niewidoczny we mgle. Chavasse czekał z niecierpliwością, na następne posunięcie Kapa. Nadpłynął wreszcie, ale z innej strony i Chavasse gorczyście przerzucił brenę, strzelając z biodra.

Cięci karabin maszynowy na rufie patrolowcy przeorał ich morderczym ogniem.

Buona Esperanza zakolysała się od uderzenia pocisków. Chavasse dał nura, gdy opróżnił ostatni magazynek, a czarna dachy rozpadła się nad jego głowę.

Orsini dalej strzelał, oparłszy lufę pistoletu maszynowego o boczny cian sterówki.

Gdy patrolowiec skręcił w głębi boki prawy wir, ponownie przecinając linię ich dziobu, Chavasse porwał granat ze stojącej obok Liri skrzynki, wyrwał zawleczkę i wypadł na pokład.

Przez krótką chwilę patrolowiec był tak blisko, że Chavasse widział miny olnierzy.

Rzucił granat łobem ponad relingiem na rufę wroga. Jeden z olnierzy zaczął go gorczyście kopać i wówczas nastąpiła eksplozja. Wyglądało to tak, jakby fala zalała rufę. Gdy ustąpiła, na miejscu pozostał tylko pokrywony wrak karabinu maszynowego. Olnierze zniknęli.

Patrolowiec pomknął we mgłę i nastąpiła cisza. Liri wstała. Wierzchem dłoni otarła zakrwawioną twarz.

- Czy będziesz jeszcze próbować?

- Z pewnością. Następnym razem będziesz odrobinę ostro niejsi, i to wszystko.

Pochylony nad lukiem maszynowni Orsini wyprostował się i podszedł do nich.

- Nie za dobrze. Jeszcze przynajmniej pięćnaście minut. Popatrzeli po sobie bez słowa, wiedząc, co to oznacza i wtem z mgły zagrzmiął głos Kapa.

- Czemu się nie poddajesz, Chavasse? Nie możesz oczekiwać, że umkniesz.

Liri krzyknęła zaskoczona, ale Orsini ją uspokoił.

- Nie bój się. On tylko mówi przez megafon. Zastanawiam się, w co ta winia gra.

- Nie jestem zainteresowany - zawołał do Albarczyka Chavasse.

Silniki patrolowcy zaryczały i okręt wyskoczył z mgły. Stojący przy jego relingu olnierze otworzyli gwałtowny ogień z broni małokalibrowej.

Chavasse pchnął Liri na pokład, a Orsini przysiadł koło nich. Jego pistolet maszynowy zagadał gniewnie. Gdy patrolowiec znów zniknął we mgle, nagle przerwał ogień.

Sprawdził magazynek, a potem cisnął broń do sterówki ze zdeglustowanymi minami.

- A jak tam z brenem?

- Do niego tego nic nie zostało.

Orsini wszedł do łódki i wyciągnął spod stolika nawigacyjnego mały skrzynk granatów.

- Przynajmniej mamy to.

- Jeśli podejdziesz blisko - zauważył Chavasse.

Spośród mgły znów nadleciał głos Kapa.

- To oczywiście, Chavasse, ale nie jesteś zdolny do poruszania się. Ale baw się wspaniałomyślnie. Poddać się bez żadnych dalszych głupstw, a ja pozwolę odejść twoim przyjaciółcom. Daj ci na to słowo. Masz dziesięć minut, by to przemyśleć. Po ich upływie podejździemy i wykończymy was.

W milczeniu, które zapadło po jego słowach, dało się słyszeć głos chrząkający Orsiniego, który znikł w zejściówce do salonu. Gdy powrócił, niósł zapasowy akwalung.

- Zalóż mi to zaraz - powiedział do Liri a potem zwrócił się do Chavasse'a. - Paul, w salonie znajdziesz jeszcze nieco tego wybuchowego plastiku i par zapalników chemicznych.

Przynieś to szybko.

- Co ty sobie wyobrażasz? W co ty grasz? - zaczął Chavasse, ale rozzłoszczony Orsini poczynił go szturchać. - Nie sprzeczasz się. Zrób, co powiedziałem.

Gdy Chavasse wrócił na pokład z pasem amunicyjnym pełnym plastiku, Włoch miał już przytroczony akwalung i nakładał gumowe pletwy.

- Spróbuj załatwić Kapa raz na zawsze - oświadczył Orsini, zapinając pas.

Chavasse potrzebował głowę.

- Nie wystarczy ci czasu.

Orsini uśmiechnął się szeroko.

- To samo powiedziano mi w czterdziestym pierwszym, gdy prowadziłem drużynę do Aleksandrii. Ale przedostali mi się do łódki oraz z powrotem, zostawiając za sobą dwa brytyjskie niszczyciele, siedzące na tyłkach w błocie. Wiem, co robi.

Opuścił maskę, odwrócił się tyłem do pobielącej twarzy Liri i przełożył ją przez reling. Miał tylko ogólne pojęcie, w jakim kierunku znajduje się patrolowiec, ale wiedział, że nie może być daleko. Płynął bardzo szybko, energicznie kopiąc nogami w pletwach.

Wynurzył się po cichu i rozejrzył wkoło. Nie dostrzegł żadnej łodzi, ale nad nim zagrzemiał głos Kapa i wtedy Orsini ujrzał ciemny zarys wśród oparów.

- Pięć minut, Chavasse, i to wszystko.

Orsini zanurkował, popłynął prosto, a przed nim w wodzie zamajaczył kil patrolowca. Dotarł do rufy, otworzył kieszenie pasa i wcisnął całe garście plastiku

pomiędzy rub i kadłub. Zaczynało mu brakować czasu, więc wepchnął detonator, odłamał jego koniec i zrobił zwrot.

Płynął przed siebie, mobilizując ostatnie rezerwy siły, wzburzał stopami wodę, a kipiła, i wreszcie ujrzał kadłub Buona Esperanza zbliżający się ku niemu. Orsini wychynął na powierzchnię.

Chavasse przechylił się przez reling i wraz z Carlem podnieli szyprę na pokład. Przez ostry szum w uszach Orsini usłyszał dudnienie włoczanego gdzieś silnika.

Gdy rozległ się wybuch, echo zagrzmiało w ród deszczu, a wraz z nim usłyszeli wrzaski umierających. Przez dłuższy czas szczytki spadały do wody, a wreszcie zapanowała cisza.

- Wiata Matko - rzekł ze zgrozą Carlo. - Musiał pójść na dno jak kamień.

Orsini powoli rozpiął uprząż akwalungu.

- Jak tam na dole?

- Skończono - odparł Carlo. - Moim ruszają, gdy tylko będziecie gotowi.

Liri klęczała obok Orsiniego z otwartym pudełkiem papierosów. Chavasse usiadł ciemko obok nich, wziął jednego i schylił głowę do zapalki, która zabłysła w jej dłoniach.

Orsini spojrzał na niego zdziwiony.

- Przykro ci z powodu dziewczyny?

- Cokolwiek z nią się stało, zasłużyła na to.

Chavasse odwrócił się i stanął przy relingu, czując ciskanie w gardle, którego nie był w stanie logicznie wyjaśnić, gdy wspominał liczną, wesołą dziewczynę, którą spotkał tysiąc lat temu na przyjęciu w ambasadzie w Rzymie.

Bolała go głowa, był zmęczony, cholernie zmęczony, a ona bezustannie wywoływała jego nazwisko. Przymknął oczy na chwilę. Kiedy znów je otworzył, Francesca wypłynęła z mgły.

Nigdy jeszcze nie wyglądała tak ładnie, z ciemnymi włosami rozpostartymi w wodzie i wielkimi oczami w bladej twarzy. Podpłynęwszy, spojrzała na niego błagalnie.

- Ratuj mnie, Paul! Ratuj mnie!

Popatrzył na nią z góry, wspominając Mattę Sorleya, Dumonta i wszystkich innych dobrych przyjaciół, których przez nią spotkała okrutna śmierć.

- Na lito boską, Paul - powiedział Orsini. - Czy jesteście zwierzętami?

Chavasse odwrócił się i spojrzał mu w oczy. Włoch zaczął wzruszać ramionami.

- Jeśli ty nie chcesz jej pomóc, ja to zrobię.

Ruszył przed siebie, ale Chavasse potrząsnął głową.

- To moja sprawa, Guilio.

Sięgnął w dół, wciągnął Franciscę na pokład, ona zaś padła na bok, kaszląc i z trudem chwytając powietrze.

- Dziękuję, Paul. Nigdy tego nie popamiętasz, to ci obiecuję.

Gdy wstała, wzięła zamach ręką, a Chavasse ujrzał klingę, błyszczącą w ostrym świetle poranka. Spróbował odskoczyć, lecz było za późno i ostrze trafiło go w lewy

bok, przecinając ciało i ze lizgując się po ebrach.

Zatoczył się do tyłu, cofając się zarówno przed zimną nienawiścią w jej oczach, jak siłą ciosu. Orsini krzyknął przerażony. Chavasse widział, jak nóż wznosi się wysoko, połyskując w promieniu porannego słońca, który w tym momencie przebił się przez mgłę, a potem głos Liri wybuchnął dzikim krzykiem.

Skoczyła przed siebie, trzymając oburącz ciężki pistolet otrzymany od Orsiniego, a potem jeden po drugim wielkokalibrowe pociski uderzyły we Francese, przerzucając ją przez reling z powrotem do wody.

Chavasse zdał sobie sprawę, że kłóczy przy nim Orsini, a Liri wyrzuca broń daleko w morze. Zacerpnął głębiej powietrza, starając się opanować ból.

- Ze mną wszystko w porządku, Giulio. Wciąż się czuję. Tylko wynośmy się stąd, do wszystkich diabłów.

Orsini zawołał do stojącego w sterówce Carla i w chwili później silniki zaczęły pracować, a Buona Esperanza powoli ruszyła naprzód.

Przecięli wielki, rozszerzający się krąg szczęk patrowca i nagle Liri, stojąc przy relingu, krzyknęła ostro i pokazała palcem na wodę.

Chavasse potrząsnął głową, trzymając zwinioną w kłęb koszulę mocno przyciśniętą do boku, by zatamować upływ krwi, i próbował usłyszeć, co mówi. W uszach mu szumiało, a szara pajczyzna zdawała się wolno zasłaniać pole widzenia. Do jego wiadomości dotarło, że silniki zatrzymały się, że Carlo podszedł do dziewczyny, a Orsini przeskoczył przez reling.

Chavasse pochylił się, czując nagle słabo; z całej mocy walczył z bólem. Gdy się wyprostował, Carlo podnosił nad burtę posąg Matki Boskiej ze Skutari.

Orsini przyniósł ją i ruchem pełnym szacunku postawił na pokładzie naprzeciw Chavasse'a.

- Popatrz, Paul, pływała w ród szczęk, a nie widać śladu uszkodzenia. Cud.

Carlo wrócił do sterówki, zapalił silniki, a Chavasse siedział bez ruchu, patrząc na posąg. Płakał. Było to dziwne i niewytłumaczalne, a przeciętocy w ciemnej, pełnej spokoju twarzy zdawały się patrzeć na niego i w jakiś sposób przynosiły ulgę w bólu.

Nad jego głową ostro krzyknęła mewa, zanurkowała, musnęła powierzchnię wody i szybko odleciała przez mglisty deszcz jak odchodzący duch.